

**ALFRED HITCHCOCK**

# **TREFNE KÓŁKA**

**NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożył: PIOTR GOLDSTEIN)

**SIEDMIORÓG 1999**

## **ROZDZIAŁ 1**

### **OSTRA JAZDA**

Pewnego ranka, podczas ferii wiosennych w kalifornijskim miasteczku Rocky Beach przed otwartą maską starego niebieskiego corvaira stał jego właściciel Pete Crenshaw i ponuro wpatrywał się w silnik.

- Cholerny wóz! - warknął do Jupitera Jonesa. - Wszystko sprawdziłem. Dlaczego nie zapala?

Jupiter przechodził właśnie ze składnicy złomu Jonesa do przyczepy, gdzie mieściła się Kwatera Główna agencji Trzej Detektywi. Tę agencję Jupiter założył dawno temu. Teraz na kanale obok przyczepy stał wóz Pete'a. Jupiter podszedł do niego i łakomie spojrział na starego grata.

- Jak już wszystko naprawisz, możesz mi go sprzedać - zaproponował.

Pete wytarł ubrudzoną smarem dłoń o wielką falę, nadrukowaną na jego koszulce nad napisem "Surf's Up!"

- Stary, taki wóz to gratka dla kolekcjonera! Corvair był pierwszym amerykańskim udanym modelem z silnikiem umieszczonym z tyłu. Są nawet całe kluby właścicieli. Jeżeli uda mi się go porządnie naprawić, będę mógł sprzedać go za niezłą sumkę. Ile odłożyłeś?

- Tylko pięćset dolców - przyznał Jupe. - Ale ja muszę mieć własne cztery kółka! Detektyw powinien mieć samochód.

- Daj spokój. Wiesz przecież, że wszystko, co zarobię, będzie mi potrzebne na wyprawę z Kelly - odparł Pete. - A poza tym, dwa samochody, mój i Boba, przecież nam wystarczą.

- To nie to samo - westchnął Jupiter. - Zobaczysz, znów będę jadł, by zapomnieć o zmartwieniu, i jeszcze bardziej utyję. Wtedy będzie ci przykro.

Pete uśmiechnął się.

- W tych szalowych nowych ciuchach powinieneś mieć lepsze samopoczucie!

Jupiter nosił koszulę i spodnie munduru legii cudzoziemskiej. Były bardzo luźne, by ukryć nadwagę, na którą jakoś nie pomagała dieta twarogowo-grejpfrutowa.

- Mundur legii cudzoziemskiej to najnowsza moda wśród studentów college'u - odparł Jupe. - A kolor oliwkowy świetnie pasuje do moich ciemnych włosów.

Rzeczywiście, bufiaste spodnie i za duża koszula dobrze leżały na Jupiterze. Pete, jak większość siedemnastolatków z jego szkoły, ubierał się w stare dzinsy i trykotową koszulkę. Dziewczyna Pete'a, Kelly Madigan, próbowała skłonić go do noszenia koszulek polo i zapinanych na guziczki butów "oxfordów". Tak ubierał się Bob Andrews - trzeci z detektywów. Była to chyba jedyna rzecz, której Kelly nie zdołała uzyskać od Pete'a.

- Posłuchaj, gdy tylko uda mi się uruchomić corvaira, znajdę ci dobry wóz za pięć stów - obiecał Pete.

- Mówiłeś to już parę tygodni temu - zaśmiał się Jupe. - Jesteś wiecznie zajęty tą swoją Kelly.

- To nieprawda! - zaprotestował Pete. - Uznałem po prostu, że mam prawo z nią wyskoczyć, skoro zorganizowała ci randkę ze swoją koleżanką.

- Strata czasu. Nie była w moim typie - zrzędził Jupiter.

- Czego chcesz, Jupe? Przecież przez cały wieczór wykladałeś jej teorię względności!

Nim Jupiter zdążył zaprzeczyć, zza bramy dobiegło głośne trąbienie. Chłopcy skoczyli na równe nogi. Była dopiero za dziesięć dziewiąta, składnicy złomu jeszcze nie otwarto. Widocznie jednak komuś bardzo zależało na dostaniu się do środka. Klakson powtarzał się teraz w rytmie rocka.

- Chyba możemy już otworzyć - stwierdził Jupiter i nacisnął guzik w małej kasetce, którą nosił przy pasku.

W kasetce mieścił się pilot do zdalnego otwierania bramy. Urządzenie to skonstruował sam Jupiter, który był wysokiej klasy majstrem: najpierw zainstalował przy bramie elektroniczny zamek, a potem dodał tego pilota. Właściciele składu, wuj Tytus i ciotka Matylda, którzy byli jedyną rodziną Jupitera, też dostali po pilocie. Główne urządzenie sterujące znajdowało się w biurze składnicy.

Brama powoli otworzyła się na oścież. Jupe i Pete patrzyli z otwartymi ustami na wspaniały kabriolet, mercedes 450 SL, który wjechał ostro na teren składnicy i z piskiem opon zatrzymał się tuż przed drzwiami biura. Nie otwierając drzwiczek pięknego wozu, górą wyskoczył z niego żyłasty młody człowiek.

Przyjezdny miał na sobie stare dzinsy, znoszone kowbojskie buty, filcowy kapelusz, który dawno utracił swój kształt, i wyblakłą bluzę od kostiumu do baseballa. Jego zniszczony plecak cały był w naszywkach i metalowych znaczkach. Młody mężczyzna podszedł do bagażnika, a potem wydobyl z niego białą kopertę i paczkę

owiniętą w kolorowy papier, tak jak pakuje się upominki. Machając paczką w powietrzu, pozdrowił chłopców i posuwistym krokiem wszedł do biura.

Pete nie mógł oderwać oczu od pięknego sportowego wozu.

- Niesamowity, co?

- Wspaniała maszyna - zgodził się Jupiter, wzrok jednak miał utkwiony w brudny śpiwór, wetknięty za siedzenie eleganckiego wozu. - Ale mnie bardziej interesuje kierowca.

- Nigdy go przedtem nie widziałem, a ty, Jupe?

- Ja też nie, ale mogę ci coś niecoś o nim powiedzieć: mimo zachodniego stroju pochodzi ze Wschodniego Wybrzeża i właśnie przemierzył całe Stany autostopem. Nie ma forsy ani roboty, a poza tym jest moim krewnym!

Pete jęknął.

- Dobra, dobra, Sherlocku. A skąd to wszystko wiesz?

Jupiter uśmiechnął się.

- Jego baseballowa bluza to strój New York Mets. Facet nie jest opalony, a paczka, którą przywiózł, pochodzi z domu towarowego Bloomingdale'a. Wszystko to świadczy o tym, że przyjechał ze wschodu, prawdopodobnie z Nowego Jorku.

- To jasne - zgodził się Pete.

- Buty ma znoszone, te jego znaczki i nalepki pochodzą ze wszystkich stanów, przez które biegnie autostrada I-80, a mercedes ma rejestrację kalifornijską. To oznacza, że gość przybył do Kalifornii szosą I-80 bez samochodu, a że nikt przy zdrowych zmysłach nie szedłby piechotą przez całe Stany, musiał przyjechać stopem.

- No tak - stwierdził Pete. - To proste.

Jupiter przewrócił oczami i westchnął.

- Łachy ma znoszone i brudne, chyba od paru tygodni nie prane. Sypia w śpiworze, więc nie wynajmował pokoju, a zjawiał się tu o dziewiątej, gdy większość ludzi rozpoczyna pracę. To oznacza, że nie ma pieniędzy ani roboty.

Pete zmarszczył brwi.

- No, a to pokrewieństwo?

- Tę paczkę i kopertę wiózł przez całe Stany Zjednoczone. Cóż to może być? Tylko prezent i list od krewnych!

- No wiesz, to jest dość słaby argument - stwierdził Pete. - A na temat tego braku forsy to chyba ci odbiło! Gość, który jeździ takim wozem, musi być bogaty, wszystko jedno, gdzie sypia i w co się ubiera.

- Nie wiem, skąd ma ten samochód - odparł Jupe - ale ten facet to po prostu włóczęga albo ktoś niewiele lepszy.

- Zwariowałeś, chłopie!

Tak sprzeciali się stojąc przy corvairze, gdy nagle Pete szturchnął Jupe'a łokciem. W drzwiach biura ukazała się Matylda, ciotka Juptiera, i ruszyła w stronę chłopców. Za nią spokojnym, trochę niedbałym krokiem posuwał się nowo przybyły. Zachowywał się tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że w życiu do niczego nie warto się spieszyć. Ciotka Matylda, wysoka i mocno zbudowana, była trochę zniecierpliwiona powolnością swego gościa.

Z bliska nieznajomy wyglądał na starszego niż z daleka. Prawdopodobnie zbliżał się do trzydziestki. Uśmiechał się od niechcienia, trochę bokiem, a przekrzywiony nos wyglądał, jakby nieraz bywał złamany. Spod gęstych brwi bystro patrzyły ciemne oczy. Ten wzrok, wraz z gęstą czupryną i cienkim, krzywym nosem, nadawał mu wygląd jastrzębia.

Idąca za nim ciotka Matylda trzymała w ręku list.

- Jupiter, Pete - zwróciła się do chłopców głosem, w którym brzmiała nuta powątpiewania - to kuzyn Tay Cassey z Nowego Jorku.

Teraz westchnął Pete. Jupiter, jak zwykle, miał rację.

- Babylon, Long Island, nad Wielką Zatoką Południową - włączył się ochoczo Tay Cassey. - Od Nowego Jorku godzina drogi. Moja mama, Amy, jest kuzynką Matyldy. Gdy powiedziałem, że wybieram się do Kalifornii poznać kraj i użyć trochę słońca, zdecydowała, że muszę zobaczyć się z jej kuzynką Matyldą, w Rocky Beach. Dała mi nawet do niej list.

Mówił, a równocześnie rozglądał się po składnicy. Na widok poukładanych w stosy materiałów budowlanych i różnych urządzeń domowych zabłysły mu oczy. Obok ogrodowych mebli i statuetek z brązu stały stare piecyki i lodówki, a puste obudowy od telewizorów koło metalowych ram od łóżka. Były tam również nieczynne automaty do gier, neony i staroświecki gramofon.

Nawet wuj Tytus nie był w stanie tego wszystkiego spamiętać. Rok temu Jupiter założył wreszcie komputerową bazę danych. Wymagało to mnóstwa pracy, ale dzięki niej Jupe nie musiał za każdym razem przeszukiwać całej składnicy.

- Nie widziałam Amy od dzieciństwa - ciągnęła ciotka Matylda. - Słyszałam nawet, że wyszła za mąż, ale nie zdawałam sobie sprawy, że od tego czasu upłynęło już trzydzieści lat! W ogóle nie wiedziałam, że ma dzieci.

- Czwooro - uzupełnił Tay. - I wszystkie dorosłe. Rodzeństwo nadal mieszka w Babylonie, a ja doszedłem do wniosku, że najwyższy czas zobaczyć kawałek świata. - Rozglądał się po składzie pełnym porzuconych skarbów, a oczy wciąż mu błyszczały. - Widzę, że macie tu sporo fajnych rzeczy. - W tym momencie zauważył stojącego obok corvaira. - Hej, skąd masz te śliczności? - zapytał. - To klasyka!

I natychmiast jego głowa znalazła się pod maską wozu, tuż obok głowy Pete'a. Przez dłuższą chwilę obaj gadali o samochodach, jak starzy przyjaciele, jeden przez drugiego, przerzucając się fachowymi terminami.

W końcu Pete wyprostował się i przeczesał dłonią rudawą czuprynę.

- Wszystko przejrzałem, co było trzeba, powymieniałem, ale nic nie pomaga, nie chce zapalić - poskarżył się Tayowi.

- I nie zapali, Pete. Popatrz, do układu elektrycznego wstawiłeś alternator.

- Jasne - potwierdził Pete. - Bez pomocy alternatora nie da się uruchomić silnika ani naładować akumulatorów.

Jupiter i ciotka Matylda patrzyli na nich, nie rozumiejąc, o co im chodzi.

- W tym modelu nie da się tego zrobić za pomocą alternatora - wyjaśnił Tay. - Corvair to wóz starego typu. Zamiast alternatora ma zwykłą prądnicę. Czy nie było tam przedtem długiego czarnego walca? I czy przypadkiem nie wstawiłeś na jego miejsce alternatora?

Pete pogrzebał pod stołem.

- O to chodzi?

Tay wziął walec, parę narzędzi Pete'a i pochylił się nad silnikiem. Połączył parę drutów, coś tam umocował i stwierdził:

- Cała reszta jest chyba w porządku. Wsiadaj i wypróbuj go.

Pete wszedł do środka i przekręcił kluczyk. Samochód zakaszłał i ruszył. Charczał i krztusił się, ale szedł!

- Hura! - zawołał śmiejąc się Pete. - Skąd tak się znasz na samochodach?

Tay uśmiechnął się.

- Zajmowałem się nimi przez całe życie. I na tym też opieram moje plany pobytu w tym mieście. Zaczepię się w jakimś warsztacie na parę godzin dziennie, a resztę czasu będę spędzał na plaży. Nigdzie nie ma tylu samochodów co w Kalifornii, nie? Potrzebuję tylko trochę czasu.

Popatrzył na ciotkę Matyldę.

- Pomyślałem sobie, że może pozwolilibyście mi się tu zatrzymać, póki się jakoś

nie urządzę. Mogę spać wszędzie i jeść byle co. Wystarczy mi jedna z tych starych przyczep. Kawalek miejsca, żeby rozłożyć śpiwór. Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

- Nie - powiedziała ciotka Matylda. - To znaczy, oczywiście tak! Zamieszkas w naszym domku, naprzeciwnie.

- Och, wielkie dzięki! To byłoby wspaniale - odparł Tay.

- Świetnie - zawołał z entuzjazmem Pete. - Będziesz mógł mnie wszystkiego nauczyć. Ty się naprawdę znasz na samochodach!

- Z całą pewnością - odezwał się nagle głos za ich plecami.

Odwrócili się i ujrzeli dwóch mężczyzn w garniturach i krawatach. Nieznajomi wpatrywali się w Taya. Nie uśmiechali się.

- Zwłaszcza - ciągnął wyższy z nich - na cudzych samochodach. Dlatego właśnie jest aresztowany.

## **ROZDZIAŁ 2**

### **KŁAMSTWO NA KŁAMSTWIE**

Wysoki mężczyzna, złym wzrokiem wpatrujący się w Taya, nie był chłopcom znany. Poznali za to od razu niższego z dwóch przybyszów: ciemnowłosego detektywa z działu dochodzeniowego Komendy Policji miasta Rocky Beach, Rogera Cole'a.

- Co się stało, proszę pana? - spytał Jupiter.

- To jest Tay Cassey, kuzyn Jupitera - wyjaśnił Pete. - Pochodzi z Nowego Jorku.

- Twój kuzyn narobił sobie kłopotu - powiedział Cole, niski mężczyzna o przyjemnej twarzy. Niebieskie oczy patrzyły przyjaźnie, a uśmiech dodawał otuchy. Tym razem jednak Cole był poważny i potwierdził to, co mówił jego wysoki towarzysz, człowiek o zimnym spojrzeniu stalowych oczu.

- To jest detektyw, sierżant Maxim z wydziału zwalczania afer i gangów samochodowych. Sierżant chciałby zadać wam parę pytań.

Sierżant Maxim patrzył zdziwiony najpierw na Cole'a, a potem na chłopców.

- Pan zna tych chłopaków, Cole?

- Tak, sierżancie. Zna ich również komendant.

- A więc, kto to taki? - rzucił Maxim.

- Są kimś w rodzaju prywatnych detektywów - wyjaśnił Cole. - W ostatnich latach sporo nam pomogli.

Zaskarżonemu sierżantowi Jupiter wręczył jedną ze świeżo zaprojektowanych przez siebie wizytówek.

**TRZEJ DETEKTYWI  
Badamy wszystko**

**Jupiter Jones . . . . .założyciel  
Pete Crenshaw . . . . .współpracownik  
Bob Andrews . . . . .współpracownik**

- Przeważnie odnajdujemy ludziom różne rzeczy i wyjaśniamy dziwne zdarzenia, takie jak to, panie sierżancie. Ale parę razy pomogliśmy komendantowi Reynoldsowi w rozwikłaniu poważniejszych problemów - dodał po chwili.



Nie wyjawiał jednak, że agencję Trzej Detektywi założyli jeszcze w podstawówce. Ani tego, że często policja bywała całkiem bezradna i dopiero Jupiter, Bob i Pete znajdował i rozwiązanie zagadki.

Sierżant Maxim spojrział na wizytówkę.

- Powiada pan, że komendant pozwala młodzieży mieszać się do spraw policji?

- Raczej to oni informują nas o sprawach, które przedtem w ogóle nie były nam znane - odparł Cole.

- Taak... No to od moich spraw niech się lepiej trzymają z daleka! - warknął Maxim. - Już od teraz poczynając.

Odwrócił się do Taya.

- Niech mu pan przeczyta jego prawa, Cole.

Detektyw wyjaśnił Tayowi, że ma prawo do odmówienia zeznań i do korzystania z pomocy prawnika. Ostrzegł go również, że od tej chwili wszystko, co powie, może być w sądzie użyte przeciwko niemu.

- No to czy zechcesz nam teraz opowiedzieć, jak doszło do tego, że znalazłeś się za kierownicą skradzionego wozu? - spytał Maxim.

Jupiter szybko wtrącił:

- Może powinieneś najpierw skonsultować się z adwokatem?

Ciotka Matylda stała w milczeniu, kompletnie zaskoczona biegiem wydarzeń. Teraz popatrzyła na Jupitera i Pete'a.

- Nie myślicie chyba, że...

- Nie potrzebuję prawnika - odrzekł Tay. - To nieporozumienie. Założę się, że brat tego faceta zgłosił kradzież samochodu, bo trochę za długo mu go nie oddawałem. Pewnie myśli, że wybrałem się nim gdzieś na przejażdżkę.

- Facet? - powtórzył Cole.

- Może zaczniemy od początku, kolego? - zwrócił się sierżant Maxim do Taya.

- Czemu nie - zgodził się Tay. - Nie mam nic do ukrycia. Przedwczoraj jechałem stopem i właśnie miałem łapać okazję w Oxnard. Zatrzymałem się na chwilę w klubie, na piwo i trochę dobrej muzyki. Grali tam fajnego rocka, więc zostałem dłużej i zacząłem gawędzić z facetem pochodzenia latynoskiego, który nazywał się Tiburon czy coś w tym rodzaju. Nigdy nie miałem pamięci do imion. Powiedziałem mu, że jestem w drodze do Rocky Beach, gdzie mam kuzyna. No i później, gdy zamykano tę dziurę, facet zapytał mnie, czy nie wyświadczyłbym mu przysługi, na której sam mógłbym też skorzystać.

Tay uśmiechnął się.

- Nigdy nie pomijam okazji, by coś zarobić, więc cały zamieniłem się w słuch. Wychodziło na to, że gość pożyczył mercedesa od swego brata i obiecał mu, że następnego dnia wóz odda. Mówił, że spotkał tu fajną laskę, która chce jechać do Santa Barbara. Dziewczyna ma własne cztery kółka, więc on potrzebuje kogoś, kto odstawiłby tego mercedesa z powrotem do brata w Rocky Beach. Jest gotów pokryć koszty paliwa i jeszcze zapłacić mi sto dolców. To jak mogłem odmówić, nie?

Sierżant Maxim przerwał mu:

- Powiadasz, że nigdy przedtem nie spotkałeś tego faceta?

- Nigdy przedtem nie byłem w Oxnard - potwierdził Tay. - Nawet nie słyszałem o takiej miejscowości.

- To było dwa dni temu - zauważył Cole. - Jak to się stało, że wciąż jeszcze masz ten wóz?

Tay znów się uśmiechnął.

- Widzi pan, był już późny wieczór, a znowu wczoraj było tak cholernie pięknie, że trochę sobie popływałem i zwiedziłem parę kanionów. W końcu, od czego jest piękna pogoda?

- A więc jeździliśmy sobie po okolicy... - podsumował sierżant Maxim. - Zwiedzaliśmy...

- A dziś? - spytał Cole.

- Zeszłej nocy spałem w wozie, a rano musiałem spotkać się z ciotką Matyldą - wyjaśnił Tay. - Miałem zaraz potem zawieźć ten samochód bratu Tiburona.

Skończył i uśmiechnął się do policjantów. Zapanowało kłopotliwe milczenie. Pete i Jupe patrzyli po sobie, ciotka Matylda spoglądała w przestrzeń. Wreszcie odezwał się sierżant Maxim:

- Kłamstwo na kłamstwie. To lepszy przekładaniec niż whopper od Burger Kinga. Jeżeli sądzisz, że my w to uwierzimy...

- Coś wam proponuję - wtrącił szybko detektyw Cole. - Może by po prostu pojechać i pogadać z tym bratem, co, sierżancie?

- Dobra - zgodził się z ponurą miną Maxim. - Chodźmy.

- Ale jeśli ten wóz jest kradziony, panie sierżancie, a Tay mówi prawdę - zwrócił uwagę Jupiter - to na widok policji brat Tiburona wszystkiego się wyprze.

- Na pewno nie pozwolimy zatrzymanemu pojechać tam bez obstawy - odparł Maxim.

- Jedź pierwszy, Cassey - zdecydował Cole. - Zachowuj się tak, jakbyś nie wiedział, że cię obserwujemy. Jupiter i Pete pojedą z tobą. Powiedz, że to koledzy, których wzięłeś, żeby podwieźli cię z powrotem. My będziemy was obserwowali z ukrycia.

Tay kiwnął głową i wskoczył z powrotem do mercedesa. Pete i Jupiter skierowali się w stronę czarnego forda fiero, którego Pete złożył kiedyś niemal od podstaw. Pete nie miał czasu i pieniędzy, żeby wyklepać wszystkie wgniecenia i odmalować rysy, ale silnik był w świetnym stanie.

Ze składnicy złomu wyjechali po kolei: najpierw Tay, za nim chłopcy, a na końcu, trochę dalej, jechała policja w nie oznakowanym dodge'u aries.

Przejechali przez miasto, kierując się na zachód w stronę stoczni. Miejscem, którego adres, jak twierdził Tay, podał mu Tiburon, była bodega - meksykański sklepik spożywczy, znajdujący się w obrębie barrio, czyli dzielnicy latynoskiej, składającej się z małych, jaskrawo pomalowanych domków i meksykańskich kafejek z ogródkami. Było tam też parę kiepskich moteli i nie lepszych knajpek.

Wyblakły, niegdyś czarny napis nad bodegą mówił, że jej właścicielem jest Jose Torres. Tay zaparkował mercedesa przed sklepem. Za nim zatrzymał się Pete. Dwaj policjanci zostali gdzieś z tyłu, poza zasięgiem wzroku. Gdy Tay wysiadał, wokół błyszczącego mercedesa zaczął zbierać się tłumek.

- Zostanę, żeby popilnować samochodu - zdecydował Pete.

Jupiter wszedł za kuzynem do środka.

W bodedze paru klientów oglądało tropikalne owoce i warzywa: mango, papaje, kolorowe fasolki, grona małych pomidorów, a także wiszące w rzędach papryczki chili: czerwone, zielone i żółte. Zza kontuaru zimnym wzrokiem spoglądał na nich szczupły, ciemny mężczyzna. Nie należeli do jego zwykłych klientów.

Tay posłał mu swój najpiękniejszy uśmiech i przyjaźnie skinął głową.

- Pan Torres? Szukamy człowieka, który jest bratem Tiburona.

- No więc? - spytał mężczyzna. Miał trochę mniej niż metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i był chudy, wręcz kościsty. Z silnie wystającym jabłkiem Adama przypominał koguta z oskubaną szyją. Oczy miał prawie tak czarne jak włosy. Popatrzył na Jupitera, a potem znów na Taya.

- Tiburon zapłacił mi, żebym przywiózł z Oxnard mercedesa należącego do jego brata - ciągnął Tay. - Dał mi ten adres.

Torres wzruszył ramionami.

- Czy my znamy jakiegoś Tiburona? Albo jego brata?

Z zaplecza wyszło dwóch mocno zbudowanych Latynosów. Nie zachowywali się przyjaźnie. Jeden z nich odezwał się:

- Nikogo takiego nie znamy, Joe.

Joe odwrócił się do Taya.

- Nie, *amigos*. Jak widzicie, nie znamy żadnego Tiburona.

Tay przestał się uśmiechać.

- Niemożliwe! Tiburon dał mi ten adres. Na dworze stoi wóz jego brata!

Torres pokręcił głową i zaśmiał się.

- Człowieku, ty jesteś szalony. Kogo w naszym barrio byłoby stać na taki samochód? Odbiło ci, amigo.

Tay nagle rzucił się i nad kontuarem chwycił Torresa za koszulę.

- Kłamiesz, słyszysz!? Tiburon kazał mi tu przyjechać!

- Ej! - Torres próbował odepchnąć Taya, ale Tay był silniejszy, niż mogło się wydawać. Torres nie był w stanie się uwolnić.

- Nacio! Carlos!

Zanim dwaj młodzi Latynosi zdążyli się poruszyć, do sklepu wpadł sierżant Maxim z detektywem Cole'em i odciągnęli napastnika. Jupiter domyślił się, że całą tę rozmowę podsłuchali za pomocą superczułego mikrofonu, takiego, jaki on sam kupił ostatnio dla swojej agencji.

Torres odskoczył i złym wzrokiem popatrzył na Taya.

- Zupełny wariat z ciebie, *Anglo*!

- Wariat - potwierdził sierżant Maxim - i złodziej. Załóż mu kajdanki, Cole. Zabieramy go.

Tay stał oszołomiony, patrząc, jak Cole zatrząskuje kajdanki na jego przegubach. Spojrzał na Jupitera i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ukradł mercedesa.

Policjanci wyprowadzili go i wepchnęli na tylne siedzenie swego samochodu. Od kabiny kierowcy oddzielała go stalowa siatka. Drzwi nie miały klamek. Tay był w klatce.

Taya odwiózł sierżant Maxim, a za nimi pojechał mercedesem Cole. Na chodniku, za plecami Jupitera stał Torres i krzychał za odjeżdżającymi:

- Głupi, zwariowany *Anglo*!

Dwóch młodszych mężczyzn, Nacio i Carlos, stojących w drzwiach sklepu,

obserwowało Jupitera. Ich spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Ze swego forda fiero Pete zawołał:

- Chodźmy stąd, Jupe!

Ale Jupiter stanął przed Torresem i powiedział:

- Zastanawiam się, panie Torres, skąd Tay w ogóle miał ten adres. Ktoś musiał mu go podać, nie?

Torres spojrział na niego złym wzrokiem.

- Spadaj stąd, mały.

- Bo widzi pan - ciągnął nie zrażony Jupiter - on jest tutaj nowy. Przyjechał z daleka, ze wschodu.

Twarz Torresa pociemniała ze złości.

- Jak dla mnie, jesteś trochę zbyt pyskаты, wiesz? Hej, Nacio, Carlos, trzeba temu wygadanemu gówniarzowi dać małą lekcję!

Trzej mężczyźni ruszyli chodnikiem w stronę Jupitera...

## ROZDZIAŁ 3

### BOB I LISA... I KAREN... I...

- Mój ty pyskаты spryciarzu - mówił Torres, popychając Jupitera przed sobą.

- Myślę... - zaczął Jupiter.

Torres znów go popchnął.

- Nie myśl, mój mały. Twój ozór napyta ci biedy.

Za właścicielem bodegi stali złowrogo uśmiechnięci Nacio i Carlos. Ale gdy Torres wyciągnął rękę, by jeszcze raz popchnąć Jupe'a, ten nagle wykonał ruch zwany w dzudo *migishizentai*: stopy w lekkim rozkroku, prawa nieco wysunięta...

Pociągnął Torresa za koszulę, tak że tamten stracił równowagę. Potem obrócił się i ruchem *o goshi* przerzucił właściciela bodegi przez prawe biodro, ciskając nim o bruk jak workiem mąki.

Torres padł na twardy beton i zawył z bólu. Leżał na chodniku zupełnie oszołomiony. Nacio i Carlos stanęli jak wryci.

Jupiter nie czekał, aż się ockną, tylko popędził do wozu. Pete miał już zapalony silnik i otwarte drzwi. Ledwie Jupe wskoczył, ruszyli z piskiem opon.

- Cóż za wspaniały rzut! - pochwalił go Pete, gdy wyjeżdżali poza obręb barrio.

- To jest *o goshi*. Przez cały zeszły tydzień ćwiczyliśmy go na treningach dzudo.

- Dzudo jest dobre, ale karate ma większe możliwości.

- Gdy tylko dzięki nowej diecie zrzucę parę kilogramów, wezmę się i za karate.

Pete nic nie odpowiedział. Diety Jupitera były tematem nie kończących się żartów. Rozpoczynał jedną, by po krótkim czasie przerzucić się na inną, a zmiany następowały tak szybko, że przyjaciele nie mogli za nimi nadążyć. Lecz Jupiter nie lubił kpin ze swej wagi ani z diet, więc Pete i Bob zachowywali swoje spostrzeżenia dla siebie.

- Myślisz, Jupe, że Joe Torres kłamie? - spytał Pete zmieniając temat.

- Jestem tego pewien. A zatem Tay przypuszczalnie mówi prawdę. Musimy wydobyć go z paki, żeby nam pomógł wykryć prawdziwych sprawców i oczyścić się z zarzutów.

- Warto by wciągnąć w to jeszcze Boba - poradził Pete.

Gdy dotarli do składnicy złomu, pospieszyli do Kwatery Głównej, by zatelefonować do trzeciego z detektywów.

Stara przyczepa kempingowa stała niegdyś pogrzebana pod stosami innych rupieci, ale gdy Jupe sporządzał komputerowy spis inwentarza, chłopcy odsłonili ją i otworzyli. Zainstalowali w niej elektroniczny zamek, alarm antywłamaniowy, urządzenia przeciwposłuchowe, dwa komputery i klimatyzację.

Telefon odebrała matka Boba. Sam Bob był jeszcze w pracy, w agencji artystycznej "Rock-Plus". Chłopcy zadzwonili więc do agencji. Włączyła się automatyczna sekretarka. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko głośnego rocka, potem głos Boba; przekrzykując rytmiczne dźwięki, poprosił o zostawienie komunikatu.

- Pewnie wyszedł poszukać jakiegoś perkusisty - domyślał się Pete. - Bob mówi, że wszyscy perkusiści to wariaci.

- Spróbujemy później - zdecydował Jupe. - A teraz chodźmy lepiej pogadać z ciotką Matyldą o tym, co stało się z Tayem.

Chłopcy przeszli przez teren składnicy i skierowali się w stronę biura. Gdy wchodzili do ciasnego, zagraconego pomieszczenia, ciotka popatrzyła na nich z obawą.

- Gdzie Tay? - zapytała.

- Zabrali go do miasta, do aresztu, ciociu - odparł Jupiter.

Opowiedzieli ciotce o wszystkim, co zdarzyło się w bodedze, nie wspominając tylko o wyczynach Jupitera jako dżudoki.

- A więc naprawdę ukradł ten samochód! - zawołała z gniewem Matylda.

- Sądźmy jednak, że nie - zaprzeczył Jupiter. - Naszym zdaniem Torres kłamie. Musimy wydobyć Taya z paki, by nam pomógł to udowodnić. Tylko on jest w stanie rozpoznać Tiburona. Czy mogłabyś zadzwonić do swojego adwokata, ciociu?

Ciotka pokręciła głową.

- Jeszcze nie teraz, Jupe. Pomyśl, co my właściwie wiemy o Tayu? Czy on w ogóle jest twoim kuzynem? Zanim cokolwiek zacznę robić, muszę najpierw zadzwonić do Babilonu, do mojej kuzynki Amy, i sprawdzić, czy jego opowieść jest prawdziwa.

- Pospiesz się, ciociu. Musimy działać, póki ślad jest świeży.

Znów wrócili na teren składnicy, kierując się tym razem w stronę pracowni, którą Jupe urządził sobie w kącie, w pobliżu Kwatery Głównej. Teraz warsztat, przykryty dachem, rozwinął się w cały skład urządzeń elektronicznych. Jupiter zainstalował w nim telefon podłączony do aparatu w Kwaterze Głównej, na dachu umieścił antenę satelitarną i wyposażył warsztat we wszystko, co pomocne w pracy

detektywa, a co mógł kupić albo zrobić własnoręcznie.

- Spróbujmy jeszcze raz zadzwonić do Boba - zaproponował, gdy znaleźli się w środku.

- Nie warto - odparł Pete. - Patrz!

Na teren składnicy wjechał stary czerwony volkswagen garbus. Z prawego okna wystawała para dziewczęcych nóg. W ślad za garbusem posuwał się błyszczący, nowy kabriolet: volkswagen rabbit. Były w nim jeszcze dwie dziewczyny.

Jedna z nich siedziała na oparciu przedniego fotela i powiewała plażowym ręcznikiem. Gdy wóz stanął, obie wygramoliły się i podbiegły do garbusa.

Zza kierownicy starego samochodu wyszedł Bob Andrews i pomachał ręką na powitanie. Przez drzwi od strony pasażera wysypały się trzy dziewczyny w szortach i stanikach od bikini.

- Chłopcy! - zawołał Bob. Za nim sznurem maszerowały wszystkie panienki. - Urządzamy piknik na plaży. Weźcie ze sobą coś dobrego i chodźcie z nami!

- Piknik? - Jupiter półprzytomnie gapił się na piątkę dziewcząt otaczających Boba.

- Twój przyjaciel jest miłutki. Bob - odezwała się najniższa z dziewczyn i przysunęła się do Jupitera. Choć nosiła sandały na obcasach, do metra sześćdziesięciu brakowało jej jeszcze paru centymetrów. Była szczupła i ruchliwa. Miała krótkie blond włosy i niebieskie oczy. Oczy, które śmiały się do Jupitera.

Jupiter, mierzący niecały metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, uwielbiał nieduże dziewczyny. Lecz gdy tylko któraś z nich uśmiechnęła się do niego, robił się czerwony jak burak.

- Ja... Ja...

- Mam dziś lekcję karate - włączył się Pete. - A poza tym, jak wiesz, Kelly nie znosi dużych zgromadzeń na plaży.

- Przecież są ferie wiosenne, Pete! Możesz raz darować sobie karate. Pamiętasz jeszcze, że chodzimy do jednej klasy? - Bob roześmiał się. - Powiedz Kelly, że raz w życiu chcesz zrobić to, na co ty masz ochotę. Kiedy już pobędzie z nami na plaży, zobaczysz, jak to polubi!

- Będzie fajnie - zachęcała niska dziewczyna, nie przestając uśmiechać się do Jupe'a. - Z twoimi kolegami i w ogóle...

Jupiter z czerwonego zrobił się blady.

- Ja... My... To znaczy... - z trudem przełknął ślinę. - Widzisz, Bob, mamy nową



sprawę! Policja uważa, że Tay Cassey, nasz kuzyn, jest złodziejem samochodów. Zatrzymali go i zapudłowali. Musimy znaleźć prawdziwych złodziei i uwolnić Taya.

- Nową sprawę? - Bobowi zaświeciły się oczy. - Złodzieje samochodów?

- Adwokat ciotki Matyldy wydobędzie Taya z pudła - ciągnął Jupiter. - Wtedy sprawdzimy wszystko, co Tay mówił, całą historię.

- Historię? - jak echo powtórzył Bob.

- Chyba że Tay okaże się oszustem, Jupe - wtrącił Pete. - W końcu, on może nawet nie być twoim kuzynem.

- Oszust? - krzyknął Bob. - Historia? Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi?

- Psiakość! A co z twoim piknikiem na plaży? - spytał niewinnym głosem Pete.

Wysoka ruda dziewczyna, która przyjechała garbusem Boba, zawołała zniecierpliwiona:

- Bob, jedziemy wreszcie?

- Chłopcy prowadzą nowe śledztwo - odpowiedział Bob.

- Urządzamy ten piknik czy nie? - odezwała się inna.

Niska dziewczyna zwróciła się do Jupitera:

- Nie pojechałbyś z nami?

- My... My... Musimy pomóc mojemu kuzynowi - wyjąkał Jupiter. - Może później moglibyśmy...

- Jupiter ma rację, dziewczyny - zgodził się Bob. - Na plażę pojedziemy jutro, dobrze? Teraz muszę pomóc kolegom. Jesteśmy przecież agencją detektywistyczną.

- Przyjechałyśmy twoim wozem - jęknęła Lisa. - Jak teraz wrócimy do naszej kafejki?

- Zmieście się w wozie Karen - odparł Bob. - Zobaczymy się później, dobrze. Lisa?

Dziewczyny nie były uszczęśliwione tym rozwiązaniem. Bob odprowadził je do rabbita, a gdy odjeżdżały, pomachał im ręką na pożegnanie. Cztery spośród dziewcząt odpowiedziały mu takim samym gestem. Tylko Lisa siedziała naburmuszona. Bob szybko podszedł do Pete'a i Jupitera.

- No dobra, to teraz opowiedzcie mi wszystko. Mam nadzieję, że to będzie supersprawa. Dziewczyny są na mnie wściekłe, zwłaszcza Lisa.

Szczupły i przystojny, ubrany w spodnie khaki i jaskrawożółtą koszulkę polo. Bob najwidoczniej wracał ze swej pracy w agencji artystycznej.

- Czy jesteś pewien, że nie musisz wpaść do roboty? - spytał Pete. - Po drodze na plażę, ma się rozumieć.

Odkąd Bob przestał pracować w bibliotece, zmienił niezgrabne okulary na szkła kontaktowe i znalazł zatrudnienie w agencji artystycznej Saxona Sendlera, był ciągle zajęty. Zbyt zajęty, by między pracą a bujnym życiem towarzyskim znajdować czas na dłuższe wizyty w składnicy złomu. Pete martwił się tym i często wyklócał się z przyjacielem. Jupiter musiał wziąć na siebie rolę rozjemcy, by zespół mógł normalnie działać.

- Twoja matka mówiła, że jesteś w robocie - wtrącił szybko.

- Byłem - odparł Bob. - Ale Sax musiał jechać na resztę dnia do Los Angeles. Nie potrzebował mnie już, więc wstąpiłem na chwilę do kafejki i natknąłem się tam na dziewczyny. No, dość tego! Powiedzcie mi, co jest grane.

Jupiter przekazał Bobowi komplet informacji, łącznie z opowieścią Taya o tym, jak znalazł się za kierownicą mercedesa, mimo że cały kraj przemierzył autostopem i nie stać go było nawet na najtańszy wóz.

- Historia wygląda dość kulawo - przyznał Jupe. - Ale Tay nie mógł wymyślić takiego dziwnego imienia. *Tiburon* znaczy po hiszpańsku rekin. Kto może nazywać się Tiburon?

- Może ten facet wiedział, że wóz jest kradziony, i ukrył swoje prawdziwe imię? - zastanawiał się Pete.

- Hm... Może... - odparł Bob. - Ale tu, w Rocky Beach, mieszka facet zwany Tiburonem. El Tiburon i Piranie!

## ROZDZIAŁ 4

### BOB NA WYSOKICH OBROTACH

Jupiter i Pete patrzyli pytająco na przyjaciela.

- Kim, a może czym jest El Tiburon i Piranie?

- Nie jest, tylko są. Jest ich pięciu. Pięciu Latynosów grających rytmy la bamba. Grają mnóstwo salsy, ale także trochę zwykłego rocka. El Tiburon gra na gitarze solowej i śpiewa. Mają jeszcze drugą gitarę, bas, perkusję i keyboard.

- Czy to jedna z grup twojego szefa? - spytał Pete.

Bob pokręcił głową.

- Prowadzi ich Jake Hatch, główny konkurent Saxa w tym mieście. Sax uważa, że są okropni. Mają jednak sporo zaproszeń do małych klubów, zwłaszcza latynoskich, i na imprezy prywatne.

- Czy jest wśród nich jakiś starszy facet? - Pete miał na myśli właściciela bodegi. Opisał Bobowi jego wygląd.

- Nie, wszyscy są dość młodzi. Najstarszy jest chyba El Tiburon, a i on ma zaledwie jakieś dwadzieścia dwa, trzy lata.

- I występują w okolicach Rocky Beach? - pytał Jupiter.

- Wzdłuż całego wybrzeża, nawet w Los Angeles. Należą do najpopularniejszych zespołów Hacha. Wszystkie porządne zespoły tego regionu prowadzi Sax. Hatch się wścieka, a Sax się tylko z tego śmieje. Mawia, że nie rozumie, jakim cudem Hatch jest w stanie wyżyć z takich miernot!

Jupiter zaczął z wahaniem:

- Czy to możliwe, żeby byli wmieszani...

Z biura wypadła jak bomba ciotka Matylda i po chwili była już w warsztacie. Szyję jej zdobила nowa kolorowa jedwabna chustka. Jupe domyślił się, że to prezent z Nowego Jorku od Taya.

- Słuchajcie, Tay rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, ale jego matka to straszna kobieta! - Ciotka kipiała gniewem. - Zaraz mi się wszystko przypomniało, gdy tylko zaczęłyśmy rozmawiać. Nigdy jej nie lubiłam, dlatego wyrzuciłam ją z pamięci. Nic dziwnego, że Tay przyjechał do Kalifornii!

- Co mówiła Amy, ciociu?

- Czego nie mówiła! I to także o swoim synu. Biedny chłopak - ciotka pokręciła

głową z dezaprobatą.

- Czy wspominała o jakichś kłopotach z policją, o kradzieżach samochodów? - naciskał Jupiter.

- Amy nazwała go błaznem i krzyczała, że jest leniwy, niegodzien zaufania... i jeszcze gorzej.

Jupiter westchnął.

- Ciociu...

Wyprowadzona z równowagi kobieta dyszała jeszcze przez chwilę, potem pokręciła przecząco głową.

- Żadnych kradzieży samochodów. Ale opowiadała, że Tay miał problemy z policją, gdy był młodszy. Typowe młodzieńcze wybryki: chuligańskie rozróbki, raz coś ściągnął ze sklepu... Przez jakiś czas brał nawet narkotyki. To wszystko było dziesięć lat temu, a odtąd nie przydarzyło mu się nic nowego. Jestem pewna, że dostał nauczkę i dał sobie z tym spokój.

Jupiter przytaknął.

- Czy twoja kuzynka ma zamiar pomóc w wydostaniu go z paki?

- Ona? Skąd! Powiedziała, że nie ma pieniędzy do wyrzucenia na takiego nicponia! Gdyby to od niej zależało, Tay byłby zdany tylko na siebie. Ja już dzwoniłam do mojego adwokata, ale on twierdzi, że niełatwo będzie wystarać się o zwolnienie Taya.

- Dlaczego? - spytał Pete.

- Czy jest coś, o czym nie wiemy? - dodał Bob.

Ciotka Matylda patrzyła z powagą.

- Policja nie zgadza się na wypuszczenie go za kaucją.

- Na jakiej podstawie? - krzyknął Jupiter.

- Ponieważ ma kryminalną przeszłość i jest spoza naszego stanu. A co ważniejsze, może być koronnym świadkiem w sprawie przeciw grupie, która, jak sądzą, jest gangiem złodziei samochodów, działającym w Rocky Beach.

- Kiedy będziesz wiedziała, czy da się go wydostać?

- Później mają go przesłuchać. Ale przedtem mój adwokat chce rozmawiać z sędzią śledczym.

- Próbuj dalej, dobrze, ciociu? - nalegał Jupiter. - Wypuszczenie Taya to dla nas sprawa wielkiej wagi.

Zdenerwowana kobieta zgodziła się i powróciła do biura, by jeszcze raz

zatelefonować do adwokata. W warsztacie Trzej Detektywi patrzyli po sobie w milczeniu.

- Czy możemy zacząć bez niego, Jupe? - spytał Pete.

- Będziemy musieli. - Jupiter zamyślił się. - A więc policja sądzi, że w Rocky Beach działa grupa złodziei samochodów, prawda? To oznacza z pewnością, że tych kradzieży było dużo więcej. - Zwrócił się do Boba: - Mógłbyś sprawdzić, czy El Tiburon i Piranie mieli jakieś występy w Oxnard tego wieczoru, kiedy według Taya, Tiburon prosił go o odprowadzenie samochodu?

- Jasne. Mogę spytać Jake'a Hacha.

- Nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszym śledztwie.

Bob uśmiechnął się.

- Coś wykombinuję.

- Może byś to zrobił od razu...

- Dobra. Chodźmy.

Pete jęknął.

- Nie mogę opuścić dzisiejszej lekcji karate. To mój pokaz *kata*.

- Cóż. w tym takiego ważnego?

- *Kata* to starodawne ćwiczenia. W nich tkwi cały duch karate. Jest ich około pięćdziesięciu. Trzeba wykonać określoną liczbę ruchów w ściśle określonym czasie. Uczymy się jednego ćwiczenia miesięcznie. Muszę zresztą i tak odebrać później Kelly z YWCA\* [Young Women Christian Association - Chrześcijański Związek Młodych Kobiet. Obok bliźniaczej organizacji dla mężczyzn YMCA, organizacja ta prowadziła m.in. zajęcia sportowe, głównie dla młodzieży.] - dodał. - Ma aerobik w tym czasie, kiedy ja trenuję karate.

- Sądzę, że poradzimy sobie we dwóch z Bobem - zdecydował Jupiter. - Potem się spotkamy, dobra?

Bob uśmiechnął się.

- Opowiemy ci, jak fajnie robiło się w konia Jake'a Hacha.

- Nie ma mowy! - zapalił się nagle Pete. - Opuzczę to karate, a Kelly odbiorę później. Idziemy, chłopcy!

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Pete pobiegł do swego poobijanego forda fiero, a Bob ruszył w stronę starego, lecz błyszczącego volkswagena. Gdy Jupiter zastanawiał się, z kim się zabrać, na teren składnicy wjechał srebrzysty, lśniący jaguar XJ6. Wyskoczyła z niego szczupła brunetka w błękitnym dresie. Pomachała komuś

siedzącemu w środku.

-Wielkie dzięki, tato! Do domu odwiezie mnie Pete. Pa!

Jaguar wysunął się z powrotem i odjechał. Kelly Madigan podbiegła do Pete'a i wzięła go za rękę. Sięgała mu ledwie do ramienia. Popatrzyła na niego swymi wielkimi zielonymi oczami i uśmiechnęła się do zaskoczonego chłopaka.

- Tato nie mógł zawieźć mnie na aerobik, więc poradziłam mu, żeby przywiózł mnie tutaj, a ty mnie już dalej podrzucisz. - Stała na palcach i pocałowała Pete'a w czubek nosa. Znów się uśmiechnęła. - Przecież i tak zawsze spotykamy się po twoim treningu karate.

Pete przełknął ślinę.

- Dziś nie idę na karate, Kel. Ja...

- Nie idziesz? Dlaczego, na litość boską?

- Mamy... mamy poważne śledztwo, Kel. Kuzyn Jupitera, Tay, ma kłopoty. Musimy rozwikłać tę zagadkę i wydobyć go z paki.

- Śledztwo... Och, wiem, że to ważne, ale w poniedziałki zawsze chodzimy na karate i aerobik. Jak mnie odwiesz do domu, jeśli będziesz zajmował się swoim śledztwem? A tam mama czeka na nas z obiadem, pamiętasz? Jestem pewna, że Jupe i Bob świetnie sobie dziś poradzą. Lepiej chodźmy już, bo się spóźnimy.

Wzięła Pete'a za rękę, pomachała Jupe'owi i Bobowi, a potem pociągnęła zmieszanego chłopca w stronę jego wozu. Pete bezradnie wzruszył ramionami i wszedł. Ford fiero wyjechał ze składnicy i ruszył przez miasto w stronę YWCA.

- Oto dlaczego nie pozwalam żadnej dziewczynie przywiązać mnie do siebie na stałe. O nie, moje panie! Nie ta, to inna - to jedyne wyjście, nie, Jupe?

- Sądzę, że w tej dziedzinie zadowoliliby mnie każde wyjście.

- Ależ, Jupe! Przywożę dosyć dziewcząt, żeby starczyło dla ciebie. Pete zresztą też. Żadna ci się nie podoba?

Jupiter westchnął.

- Powiedziałbym raczej, że to ja im się nie podobam.

- Pełno jest dziewczyn, które cię lubią! Widzę to. Weźmy na przykład tę małą Ruthie. Wyraźnie się jej spodobałeś. Musisz tylko zrobić krok.

Jupiter zaczerwienił się.

- Tak, tak, ale jak dowiemy się o El Tiburonie i Piraniach?

- Nie ma problemu. Chodźmy!

Wsiedli do garbusa i wyjechali ze składnicy. Bob skierował wóz w stronę

centrum miasta.

- Dokąd jedziemy? - spytał Jupe.

- Do biura Jake'a Hacha.

- Ale przecież nie chcemy, by wiedział o naszym śledztwie.

Bob uśmiechnął się.

- Zaufaj mi.

Zatrzymali się przy obskurnym, zniszczonym budynku na skraju centralnej dzielnicy handlowej. Bob zaparkował wóz na placu za budynkiem.

W rozwalającym się gmachu nie było windy. Przez brudne okno w dachu nad klatką schodową przenikało słabe światło. Po obu stronach korytarzy, na których nie położono nawet chodników, widać było szereg odrapanych drzwi.

Na drugim piętrze Bob otworzył ostatnie drzwi po prawej stronie. Detektywi weszli do sekretariatu, z którego przechodziło się do gabinetu Jake'a Hacha.

- Cześć, Grace! - powitał Bob sekretarkę. - Czy pan Hatch jest u siebie?

Młoda ładna blondynka siedziała przy jedynym biurku. Przepisywała jakąś listę. Popatrzyła na nich i uśmiechnęła się na widok Boba.

- Wiesz przecież, że to jego przerwa obiadowa.

Bob usiadł na krawędzi biurka i posłał jej najpiękniejszy ze swych uśmiechów.

- Jasne. Dlatego przychodzę właśnie teraz.

Młoda kobieta roześmiała się i pokiwała głową nad jego bezczelnością.

- Jesteś stanowczo zbyt pewny siebie, Bobie Andrews.

Bob uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Czy to zbrodnia, że wolę mówić z tobą niż ze starym Jakiem, Grace? Przy okazji, przyprowadziłem z sobą mego przyjaciela Jupitera, żeby mógł cię poznać. Jupe, to jest Grace Salieri, najlepsza sekretarka w branży.

- Miło mi panią poznać, panno Salieri - powiedział Jupiter.

- Mów do mnie Grace. A teraz dość mydlenia oczu, dobra. Bob? Co tu robisz?

- Sax ma klienta, któremu jest potrzebny zespół grający la bambę - wyjaśnił Bob. - My takiego nie mamy. Facet był parę dni temu w Oxnard i tam widział ich występ. Spodobali mu się. Nie zapamiętał nazwy grupy. Pomyślałem, że to mógł być El Tiburon i Piranie. Czy byli dwa dni temu w Oxnard? I gdzie będą grali w ciągu najbliższych paru dni?

- Jake będzie chciał całą prowizję z występu Tiburona.

- W tym wypadku Saxowi nie zależy na podziale zysków. Chce tylko, żeby gość

był zadowolony.

Grace wstała i przeszła do gabinetu.

- Co ona tam robi? - spytał szeptem Jupiter.

- Sprawdza kartki na ścianie u Jake'a. Sax stosuje ten sam system. Jest szybszy niż komputer. Od razu na pierwszy rzut oka widzisz, gdzie są wszystkie twoje zespoły.

Grace Salieri wróciła do sekretariatu.

- Aha. Tiburon i jego chłopcy byli wtedy w Oxnard w klubie "The Deuces". W ciągu najbliższych dwóch dni będą grali w "The Shack".

Usiadła z powrotem za biurkiem.

- Wspaniale, Grace. Dzięki - powiedział Bob.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Sax pewnie zapyta, czy to w tym klubie jego klient widział zespół, który mu się spodobał. Jeżeli tak, stary Jake dostanie niezły kęs.

Grace roześmiała się.

- Zjeżdżaj stąd lepiej. Bobie Andrews.

Gdy wyszli. Bob mrugnął na Juve'a. Zakurzoną klatką schodową pobiegli z powrotem do garbusa.

- Nawet jeśli Grace wszystko powie szefowi, to i tak Jake zobaczy w tym tylko łatwy zarobek. A my już wiemy, że Tiburon rzeczywiście był w Oxnard wtedy, gdy przebywał tam Tay.

- A "The Shack" to pizzeria i kawiarnia, do której możemy wejść - dodał Jupiter. - Jeżeli Taya wypuszczą, pewnie będzie mógł rozpoznać Tiburona. Jeżeli nie, może uda się pogadać z Tiburonem i czegoś się dowiedzieć.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem. Spotkamy się w Kwaterze Głównej - zdecydował Jupiter. - Potem pójdziemy do tej pizzerii. Pogadamy sobie z Tiburonem i Piraniami.



## ROZDZIAŁ 5

### OGŁUSZAJĄCE PIRANIE

“The Shack” było małą popularną pizzerią na wschodnich obrzeżach Rocky Beach. Jupiter i Bob przybyli tam o ósmej wieczór. Pete, jak się okazało, musiał zabrać Kelly na imprezę. Jupiter tylko westchnął.

Mała i odrapana pizzeria przyciągała uczniów z pobliskiej szkoły średniej i pomaturalnej. Większość lokali, z muzyką graną na żywo, sprzedawała alkohol, a to oznaczało, że młodzież do lat dwudziestu jeden nie miała tam wstępu. Przepisu przestrzegano rygorystycznie, do tego stopnia, że często nawet nieletnim członkom orkiestry nie pozwalano zejść z estrady, a do pilnowania ich przydzielano specjalnie jednego z pracowników. Ale w “The Shack” sprzedawano tylko napoje bezalkoholowe, więc schodziły się tam tłumy nastolatków.

Tak działo się zazwyczaj. Ale tego wieczoru było inaczej.

Gdy Jupiter i Pete weszli do środka, ujrzeli tylko dwóch kolegów ze szkoły, stojących przy automacie do gry w rogu sali. Jeszcze dwóch innych jadło pizzę, wpatrując się równocześnie w ekran telewizora z wyłączonym dźwiękiem. Cztery dziewczyny latynoskiego pochodzenia siedziały przy stoliku sąsiadującym z maleńkim skrawkiem parkietu do tańca. Były to zapewne dziewczyny członków orkiestry, bo tylko one wpatrywały się w grających na estradzie.

Pizzerią była prawie pusta, ale hałas - ogłuszający.

- La bamba... bamba... bamba!

Pięciu facetów tańczyło w południowym rytmie, przygrywając sobie na elektrycznych gitarach i keyboardzie. Brzmiało to jak meksykańska kapela uliczna. Perkusista walił w bongo, gongi i potrząsał grzechotkami. Kable, wzmacniacze, pedały i coś z pięćdziesiąt innych elementów wyposażenia zajmowało większą część niewielkiej estrady, tak że prawie nie było gdzie się ruszyć.

- La... bam... ba!

El Tiburon i Piranie! Łomotali, wirowali i wykrzywiali się jak diabli w stronę prawie pustej sali. Twarze ich błyszczały od potu.

Muzycy z nadzieją patrzyli na drzwi, w których pojawili się Jupiter z Bobem. Chłopcy zajęli miejsce przy stoliku w tylnej części sali.

- Przykro mi to mówić - szepnął Jupiter - ale ten zespół nie jest za dobry.

- Sax powiada, że krzyczą zamiast śpiewać - zgodził się Bob. - Grają też nieszczególnie.

- Przypuszczam, że El Tiburon to ten w białej marynarce?

- Zgadza się. Wysoki facet na pierwszym planie. Gra na gitarze solowej.

Jupiter przyglądał się wysokiemu szefowi zespołu, który śpiewał i podskakiwał na opłataney kablami scenie. Szczupły i przystojny, ubrany był w egzotyczny biały garnitur: ciasno opięte spodnie i długą marynarkę. Jedwabną koszulę miał rozpiętą pod szyją. Był showmanem w każdym calu: dużo stylu, mniej talentu. Cztery niższe Piranie, grające na planie drugim, ubrane były na czerwono i czarno.

- To nie jest typowo latynoska knajpka - zauważył Bob. - Nie wiem, dlaczego Hatch załatwił im to miejsce.

- Zdaje się, że oni też nie wiedzą - przyznał Jupiter.

Ciężko pracujący zespół przerzucił się teraz na typowego rock and rolla. Siedzący na sali uczniowie przerwali jedzenie i grę przy automacie i zaczęli słuchać. Do lokalu weszło trochę więcej ludzi, ale nadal trudno byłoby to nazwać tłumem. Nagle Bob pochylił się nad Jupiterem.

- Tam jest Jake Hatch.

Niski, krępy jegomość w drogim szarym garniturze wszedł właśnie do pizzerii. Na okrągłym brzuszku widać było dewizkę od zegarka i kamizelkę. Jego blada twarz o grubych rysach miała dziwną karnację: zawsze sprawiała wrażenie nie ogolonej.

Hatch spojrzał gniewnie najpierw na podrygujących muzyków, a potem na salę, która wciąż była co najmniej w połowie pusta.

- Pozna cię? - spytał Jupe.

- Na pewno - odparł Bob. - Nie wie, po co tu przyszliśmy, ale Grace musiała mu powiedzieć o naszej wizycie.

Hatch stał w drzwiach. Raz jeszcze popatrzył na hałasujące Piranie i rzucił okiem na parę osób wchodzących do sali, a tymczasem utwór zakończył się z trzaskiem. W jednej chwili muzycy rzucili instrumenty i dołączyli do dziewcząt przy stoliku. Tiburon kręcił się wśród niewielkich grup młodzieży, rozmawiał i posyłał uśmiechy.

Jake Hatch zapalił cygaro. Potem zauważył Boba i jego gęste brwi uniosły się. Podszedł do stolika.

- A więc? - rzucił pytająco i usiadł naprzeciw chłopca. - Sandler potrzebuje Tiburona i Piranii, co? Żeby było jasne: nie dzielę się prowizją.

- Jakaś grupa grająca la bambę mogłaby nas interesować - odparł Bob. - Sax przysłał nas, byśmy przyjrżeli się, jak gra Tiburona. On sam szuka w Los Angeles.

Hatch zaśmiał się złośliwie.

- Nie to mówiła mi Grace. Macie faceta, który widział Tiburona z chłopcami dwa dni temu w Oxnard i zapalił się do nich.

- Ale my nie musimy znaleźć mu Tiburona, prawda? - Bob uśmiechnął się. - Jeżeli go weźmiemy, dzielimy zysk na pół.

Twarz Hatcha pociemniała z gniewu.

- Ten Sax będzie musiał kiedyś wynieść się z miasta. Już moja w tym głowa. Wszyscy wiedzą, że łąze i kantuje, żeby tylko zdobyć klientów i imprezy. Pójdiesz za nim, chłopcze, jeśli nie zmądrzejesz i nie zaczniesz chodzić prostymi drogami.

- Miło mi, że tak się pan interesuje moją karierą - odrzekł łagodnie Bob.

- Posłuchaj mojej rady i rzuć Sendlera - mówił Jake Hatch. Pociągnął dym z cygara. - Co byś powiedział na trochę forsy już teraz?

- Zawsze lubię zarabiać pieniądze - uśmiechnął się Bob.

- Opowiedz mi o wszystkim, co robi Sendler. Kim są jego klienci, jak rozdziela zlecenia i jak pracuje.

- Psiakość, to się nazywa szpiegowanie, prawda, panie Hatch? - Bob otrząsnął się z udanym przerażeniem.

- Każdy dziś szpieguje, chłopcze.

- Przykro mi, panie Hatch. To nie jest w moim stylu.

Hatch spojrzał na niego złym wzrokiem.

- Nie odgrywaj przede mną takiego niewiniątka. Jak nazwać to, co tutaj robisz? Myślisz, że nie wiem, że Sendler przysłał cię, żebyś zawarł kontrakt za moimi plecami?

- Kto tak twierdzi? - zdziwił się Bob. - Sax nie... - Jupiter kopnął go pod stołem. Nie wolno było dopuścić do tego, by Hatch zorientował się, że Saxon Sendler nic nie wie o ich pobycie w "The Shack". Agent zorientowałby się od razu, że cała historia o kliencie potrzebującym El Tiburona i Piranii jest lipna.

Szef spojrzał na nich podejrzliwie. Właśnie w tym momencie przy stole pojawił się El Tiburona.

- Hej, zdaje się, że rozmawiacie o El Tiburonie, co? - cieszył się wysoki, błyszczący solista. - Jesteście moimi fanami, nie? Kochacie naszą muzykę. Musicie mieć El Tiburona i Piranie...

- Właściwie... - zaczął Bob.

- Jesteście wszyscy wspaniali! - włączył się pośpiesznie Jupiter. - Zwłaszcza pan. Czy pan jest samym El Tiburonem?

- We własnej osobie - gitarzysta i śpiewak wyprostował się. Z bliska widać było, że ma podłużną, dumną twarz, gładką jak jasnobrązowa skórzana rękawiczka.

- Czy chcecie zdjęcie z autografem? Jake, daj tym chłopcom nasze fotki.

Hatch popatrzył podejrzliwie na Jupitera, niepewny, co łączy go z Bobem. Tę niepewność znać było na jego twarzy. Jeśli Jupiter był prawdziwym fanem, Hatch nie chciałby go zrazić. Jeżeli jednak był tylko towarzyszem Boba, nie należały mu się żadne względy. Na wszelki wypadek Hatch postanowił odłożyć sprawę zdjęcia na później, a tymczasem opowiedzieć Tiburonowi o Bobie.

- Zdjęcia są w wozie. Potem mu przyniosę - ruchem głowy wskazał Boba i ciągnął dalej: - A ten facet to nie żaden fan. Pracuje...

- Ej, znam swoich fanów - nachmurzył się Tiburon. Obnażył przy tym zęby, tak że wyglądem, zgodnie ze swym przezwiskiem, przypominał rekina. - Idź po zdjęcie dla mego przyjaciela, dobra?

I Bob, i Jupiter myśleli, że Hacha zaraz trafi szlag. Ale impresario tylko przełknął ślinę. Udało mu się nawet uśmiechnąć, potem wstał i wyszedł przez frontowe drzwi. Gdy już go nie było widać. Jupiter poprosił:

- Czy mógłbym także dostać zdjęcie dla mego kuzyna Taya?

- Jasne. Jake przyniesie parę sztuk. Czy twój kuzyn też jest moim fanem?

- Nie całkiem - odparł Jupiter. - Tay twierdzi, że pana zna. Chciał, żebym z panem porozmawiał.

- To ktoś z innego zespołu? Mam mnóstwo znajomych muzyków.

- Nie - wyjaśnił Jupiter. - To ten gość, któremu pan polecił odprowadzić wóz pańskiego brata do Rocky Beach. Próbował to zlecenie wykonać, ale nie mógł brata znaleźć.

Uśmiech Tiburona powoli zgasł. Potem powrócił, ale był to już inny uśmiech. Uśmiech prawdziwego rekina.

- Tak, tak, słyszałem, że ten *Anglo* kradnie fajne wozy i opowiada jakieś pomyłone historie, że to ja kazałem mu odprowadzić je do brata. Ejże! Nawet gliny nie kupią takich opowieści. - Pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć "biedny świr Tay..." - To twój kuzyn? Przykre.

- A więc nic panu nie wiadomo o wozie ani o Tayu? - spytał Bob.

Tiburon roześmiał się.

- Ej, chłopie, lepiej byłoby, gdyby ten twój kuzyn został w Oxnard. Bo wiesz, ja nawet nie mam brata. - I odszedł wyprostowany z powrotem na estradę, śmiejąc się przez całą drogę.

Boh spojrział na Jupitera zniechęcony.

- Jupe? Jeżeli on nie ma brata, to znaczy, że Tay kłamie... Na scenie czwórka Piranii wpatrywała się w Jupitera i Boba.

Tymczasem powrócił Jake Hatch z paczką fotografii w ręku. Popatrzył na chłopców, potem na El Tiburona i Piranie, szykujących się do nowego kawałka, wreszcie podszedł do muzyków.

- Chodźmy - rzucił pospiesznie Jupiter. - Wyjdźmy stąd.

- Nie chcesz zdjęcia? - spytał Bob.

- Patrz na mnie.

Przepchnęli się między nowo przybyłymi gośćmi i wyszli w ciemność. Po drodze, przechodząc obok tablicy reklamowej na zewnątrz lokalu, Jupiter chwycił fotografię Tiburona i zdarł ją z tablicy. Gdy dotarli do wozu. Bob wciąż jeszcze był zdezorientowany.

- Facet nie kłamałby na temat swego brata, Jupe. To jednak twój kuzyn mówi nieprawdę.

- Niekoniecznie. Jeśli Tiburon kazał Tayowi dostarczyć kradziony samochód, to już wtedy skłamał, że chodzi o brata - wyjaśnił Jupiter, gdy Bob ruszał z parkingu. - A poza tym - dodał twardo - teraz ktoś kłamie na pewno.

- Kto, Jupe? Co tu jest nieprawdą?

- Tiburon mógł usłyszeć historię Taya tylko od nas, od policji albo od Torresa i jego kumpli. Myśmy jej nie opowiadali. Policja też by tego nie zrobiła. A zatem Tiburon musiał dowiedzieć się o tym, co zdarzyło się w bodedze, od Torresa albo od jednego z pozostałych dwóch uczestników zajścia. A to oznacza, że jeden z nich lub wszyscy oni znają Tiburona, a więc okłamali i nas, i policję!

- Masz rację, Jupe! - ucieszył się Bob.

- W dodatku, żaden z nas nie wymienił dziś nazwy Oxnard, a jednak Tiburon wiedział, że Tay dostał ten wóz w Oxnard...

- Oo! To znaczy, że albo Torres powiedział Tiburonowi o Oxnard, albo Tay mówi prawdę o spotkaniu z Tiburonem. Albo jedno i drugie. Co teraz zrobimy?

- Teraz - odparł Jupiter - zawrócimy samochód, pojedziemy pod pizzerię i

zaczekamy, aż Tiburon i Piranie wyjdą stamtąd.

## ROZDZIAŁ 6

### W ŚLAD ZA REKINEM...

Drżąc z zimna w nie ogrzewanym volkswagenie garbusie, chłopcy słuchali głośnej muzyki dobiegającej z pizzerii. Południowa Kalifornia ma w rzeczywistości klimat pustynny, w dzień jest gorąco, ale w nocy zimno. Wiosną ziąb przenika aż do kości. Dla naszych detektywów była to długa noc.

Muzyka rozbrzmiewała do północy. Co pewien czas ktoś wchodził lub wychodził. Potem zapadła cisza. Po dwoje i po troje opuszczali lokal ostatni bywalcy. Wreszcie wyszła i orkiestra. Wysypali się przez dwuskrzydłowe drzwi, czyniąc głośny harmider, klnąc i krzycząc na siebie nawzajem.

Najbardziej złościł się Jake Hatch. Widać było, jak stoi pod jedyną latarnią i wymachuje rękami w stronę brodatego mężczyzny, który wyglądał na właściciela lokalu. Tiburon i Piranie otoczyli ich ponurym kręgiem. W końcu Hatch krótko i ostro powiedział coś do muzyków, pomaszerował w stronę swego srebrzystoszarego rolls-royce'a i odjechał. Właściciel "The Shack" wyrzucił w górę ramiona i wrócił do środka. Tiburon i Piranie zniknęli za węglem budynku.

- Jedź za nimi, Bob - poprosił Jupiter.

- Tam z tyłu jest plac, na którym parkują. Muszą tędy przejeżdżać - odparł Bob, wskazując głową kierunek, w którym odjechał rolls-royce Jake'a Hacha. - Tego rollsa musieli od kogoś odkupić, ale nadal nie rozumiem, jakim cudem Jake mógł na niego zarobić w swojej agencji. Sax mówi, że nawet jego nie byłoby stać na taki wóz.

Bob kręcił jeszcze głową, komentując koszt auta, gdy zza ciemnego już budynku wysunął się pierwszy z wozów zespołu.

- O kurczę! - zawołał Jupiter.

Był to duży sedan. Nie sposób było określić markę lub rok produkcji, bo cały został upstrzony naniesionymi sprayem graffiti. Napisy pokrywały go od końca do końca, nie wyłączając okien! Było ich tyle, że pod ich warstwą zniknął zupełnie prawdziwy kolor wozu. A sięgały tak nisko, że trudno było określić nawet kształt samochodu.

- On ma obniżone podwozie! - zawołał Jupiter.

Specjalnie przebudowany samochód sunął zaledwie piętnaście centymetrów nad ziemią. Resory i amortyzatory albo usunięto w ogóle, albo wmontowano

dotatkowy, obniżający układ hydrauliczny. W tym przypadku podwozie można byłoby podnosić z powrotem do jazdy po normalnej szosie. Od spodu samochód zabezpieczały dodatkowe stalowe płyty. Umieszczano je z przodu i z tyłu dla ochrony podwozia przed nierównościami jezdni.

Za tym wozem sunęły cztery inne, równie niskie. Wszystkie skierowały się w stronę barrio.

Tylko młodzi Latynosi używali takich aut. Były one elementem ich stylu życia, sposobem na odróżnienie się od *Anglos* i na epatowanie dziewczyn. Te niezwykle wozy były na ogół pięknie utrzymane. Właściciele malowali je i lakierowali, wygładzali, polerowali i dekorowali wewnątrz i na zewnątrz, aż osiągnęły stan takiej doskonałości, że można było paradować w nich w sobotnie wieczory i współzawodniczyć w konkursach piękności na pokazach samochodowych.

Ale te wozy były inne. Brzydkie. Grubymi, wymalowanymi w dziesięciu kolorach napisami miały słać imię i talent El Tiburona i jego Piranii.

- To reklama - stwierdził Jupiter. - Ich znaki firmowe. Przynajmniej łatwo będzie za nimi nadążyć. Nie mogą jechać zbyt szybko.

Bob pozwolił niskim wozom oddalić się do następnego skrzyżowania i dopiero wtedy ruszył. Musiał co chwila zwalniać, by nie zbliżyć się za bardzo do niemrawej procesji. Wreszcie dotarli do granicy barrio. Bob nadal trzymał się z dala, gdy naraz wszystkie samochody wjechały do myjni sąsiadującej z "Taco Bell", położonej zaledwie o dwie przecznice od liceum Rocky Beach. Podczas ferii przy "Taco Bell" parkowało wiele samochodów, nawet po północy. Ten lokal był obu chłopcom dobrze znany.

Powoli minęli myjnię, na terenie której zostawili samochody El Tiburon, Piranie i ich dziewczyny. Widać było, jak wszyscy oni stoją w wewnętrznej poczekalni, racząc się zakąskami i napojami z bufetu. Przyłączyło się do nich paru innych młodych ludzi.

- Lepiej wysiadźmy - zaproponował Jupiter. - "Taco Bell" wygląda na dobre miejsce.

- O taak! - uśmiechnął się Bob.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - natarł na niego Jupiter.

- Nie słyzałem dotąd o diecie składającej się z placuszków kukurydzianych.

- Każdą potrawę można znaleźć w jakiejś diecie - odparł lekko obrażony Jupiter.



- Nie ma *tacos* w diecie twarożkowo-grejpfrufowej.

Jupiter jęknął:

- Ale ja umieram z głodu!

- Hej, stary, mnie nie przeszkadza, że jesteś gruby!

- Nie jestem gruby! Może trochę... przyciężki, może, ale...

- Jupe, nie warto o tym mówić. Ciężkiego czy chudego, Pete i ja bardzo cię lubimy. Powiedz lepiej, co teraz robić.

- Wejdziemy do "Taco Bell" - odparł sztywno Jupiter. - A jeśli nie zamówimy *taco*, będziemy za bardzo rzucać się w oczy.

Bob odwrócił głowę, by ukryć uśmiech, i równocześnie zawrócił. Przejechał kawałek w kierunku, z którego przybył, i wjechał na parking przy "Taco Bell". Wysiedli i zmieszali się z tłumem stojącym przy kontuarze. Niektórych ludzi znali ze szkoły, więc czekając na swoją kolej, trochę z nimi poplotkowali.

Wzięli swoje *tacos* i skierowali się do stolika przy oknie, skąd mieli świetny widok na myjnię samochodów. Przy tym stoliku brak było ławki, usiedli więc na stole, chrupali i obserwowali.

O tak późnej porze myjnia nie przyjmowała klientów, wyglądało jednak na to, że dla Tiburona i Piranii nadal jest otwarta. Za ladą bufetu stał starszy mężczyzna, ale nie było nikogo z obsługi samochodów.

Towarzystwu wyraźnie przewodził El Tiburon. Zasiadł w jedynym fotelu, otoczony przez Piranie i ich dziewczyny. On mówił, a wszyscy słuchali.

Wszyscy z wyjątkiem jednej z dziewcząt, która wstała i podeszła do lady, by coś kupić. El Tiburon wyciągnął w jej kierunku rękę i wskazując długim palcem krzyknął na dziewczynę tak głośno, że słyhać było nawet w "Taco Bell".

- Wracaj tu zaraz, mała. Żadnych zakupów, kiedy mówimy o Interesach! Jasne, barman?

Starszy mężczyzna za ladą wzruszył ramionami i pokręcił głową, jakby odmawiał dziewczynie. Ta obróciła się na pięcie i rzuciła parę słów w stronę Tiburona, który natychmiast wstał i w jednej chwili znalazł się przy niej. Chwycił ją za ramię. Jakiś facet spoza zespołu skoczył i oderwał od niej dłoń Tiburona.

Widzowie zająścia zamarli.

Tiburon wyciągnął rękę i złapał gościa za koszulę. Tamten odtrącił jego dłoń. Tiburon uderzył go prawym prostym. Obrońca dziewczyny zachwiał się, ale odpowiedział lewym sierpowym, a potem prawym prostym. Tiburon zrobił unik,

minął się z lewym, prawy zablokował i jednym silnym ciosem powalił na ziemię faceta, który nawet nie próbował wstać.

Tiburón powiedział coś i roześmiał się. Zawtórowali mu wszyscy prócz nieposłusznej dziewczyny, która pochyliła się nad swym powalonym obrońcą. Tiburón z powrotem rozsiadł się w fotelu i zaczął rozmawiać jak gdyby nigdy nic.

Wszystko to obserwowali chłopcy od swego stolika w "Taco Bell".

- Zachowuje się jak szef gangu, a nie zespołu muzycznego - zauważył Bob.

- Tak - zgodził się Jupiter. - Zdaje się, że jest jednym i drugim. Jak gdyby zespół był częścią gangu. Myśle... - tu szef detektywów przerwał w pół zdania.

Na teren myjni wjechał jeszcze jeden wóz. Wsiadł z niego chudy mężczyzna i skierował się w stronę poczekalni.

- To Joe Torres! - zawołał Jupe.

W poczekalni Tiburón wstał z fotela, powiedział coś do jednego z muzyków Piranii i wyszedł spieszenie na zewnątrz powitać Torresa. Jakiś czas stali w cieniu rozmawiając, a reszta gangu czekała wśród ku.

- A więc Torres kłamał! - krzyknął Bob. - Oczywiście, że zna Tiburona. Założę się, że to do niego miał trafić skradziony wóz, a Tiburón po prostu wymyślił historyjkę o czekającym bracie.

- Może tak, a może nie - odparł Jupiter. - Torres kłamał, że nie zna Tiburona, ale to jeszcze nie oznacza, że reszta jest prawdą. Może, na przykład, Torres osłaniał Tiburona, ale nic nie wie o kradzieżach samochodów. A może Tiburón działał w Oxnard zgodnie z tym, co mówił Tay, ale był tylko narzędziem. Mógł nie wiedzieć nawet, że wóz jest kradziony.

- To jak się o tym przekonamy?

- Musimy zdobyć więcej danych - odparł Jupe. - Poczekajmy jeszcze chwilę.

- Robi się późno - zauważył Bob. - Jeśli Sax wróci tej nocy z Los Angeles, będę musiał jutro pracować.

- Musimy sprawdzić, czy Tiburón wiedział, że samochód ukradziono, a jeśli nie, to kto mu kazał zlecić Tayowi odprowadzenie wozu do bodegi Torresa.

- Jupe! - zawołał nagle Bob.

Tiburón wrócił do poczekalni, a Joe Torres kierował się wprost do "Taco Bell"!

- On mnie pozna! - przestraszył się Jupiter.

Rozejrzał się w panice, gdzie by tu się schować. Nie było gdzie!

Lokal zbudowany na kształt hacjendy świecił już pustkami. Zostało jeszcze

kilku klientów, ale byli rozproszeni, siedzieli pojedynczo przy niemal gołych stołach. Plac parkingowy był jasno oświetlony i też prawie pusty. Przy długim kontuarze nie stał ani jeden człowiek.

- Szybko! - rozkazał Bob. - Klękaj!

Jupiter uklęknął na podłodze przy ich pozbawionym ławki stoliku. Opadł na czworaki. Bob zdjął dżinsową kurtkę i usiadł mu na grzbiecie, używając przyjaciela jako krzesła. Kurtką okrył kolana, jakby mu było zimno w nogi. Potem oparł się niedbale o stół. W przyziemnym świetle żuł resztki drugiego *taco*.

Gdy Torres przechodził obok, Bob spojrzał na niego niewinnie. Miał nadzieję, że właściciel bodegi nie zauważy braku ławki po drugiej stronie stolika. Ale chudy Latynos w drodze do lady zaledwie zerknął na Boba.

Z dołu dobiegł chłopca stłumiony głos przyjaciela:

- Jesteś nieduży i wyglądasz na chudzielca, ale ważysz chyba z tonę. Mogę już wstać?

- Facet jeszcze stoi przy ladzie. W każdej chwili może spojrzeć w naszą stronę. Lepiej zostań tak, jak jesteś.

Jupiter jęknął.

Bob zaśmiał się bezgłośnie:

- Fajna z ciebie ławka. Ciepła i miękka.

- Poczekaj no! - W zduszonym głosie Jupitera brzmiała wściekłość.

Bob delikatnie szturchnął go w zębra.

Jupiter niemal eksplodował, choć walczył z sobą, by zachować milczenie. Wreszcie Bob dał spokój przyjacielowi, bo właśnie przechodził obok Torres, niosąc nadziewane mięsem naleśniki *burrito*. Minął chłopców i poszedł w stronę myjni i swego wozu. Tym razem nawet nie spojrzał na Boba.

- Dobra, poszedł.

Bob wstał, uwalniając przyjaciela. Jupiter podniósł się z trudem, oparł się o stół i rozcierał bolące plecy. Popatrzył złym wzrokiem na Boba, a potem nagle się uśmiechnął.

- Masz szybki refleks - przyznał. - Ale lepiej stąd wiejmy. Inni też mogą nabrać ochoty na *taco*.

Pobiegli do czerwonego volkswagena i wrócili nim do składnicy złomu, obok której mieszkał Jupiter. Składnica była zamknięta i ciemna. Dom Jupe'a też.

- Wszyscy śpią - stwierdził Jupiter. - Ale zobaczymy, czy nie ma Taya.

Idąc na palcach, zajrzeli do małego pokoiku na parterze. Drzwi zastali otwarte, a pokój pusty. Na górze sprawdzili pokój gościnny. Też nikogo w nim nie było. Bob zmartwił się.

- Może policja ma więcej dowodów, niż ci się wydaje.

- Może. Rano zapytam ciotkę Matyldę. Ale nadal sądzę, że Tay mówi prawdę.

- Mam wielką nadzieję, że się nie mylisz. Tak czy owak, spotykamy się jutro po śniadaniu w Kwaterze Głównej.

- Chyba że Kelly znajdzie nowe zajęcie dla Pete'a.

Jupiter jakby nie słyszał ostatniego przytyku pod adresem nieobecnego kolegi.

- Wiesz - powiedział wolno - zespół, który niemal co wieczór przemieszcza się wzdłuż wybrzeża, może być świetną przykrywką dla gangu złodziei samochodów.

## ROZDZIAŁ 7

### POMARAŃCZOWY CADILLAC

Wczesnym rankiem Pete narzucił trykotową koszulkę z napisem “Bop’ Til You Drop” i pojechał swym wozem do składnicy złomu. Czuł się winny nieobecności podczas wczorajszej akcji i chciał to naprawić. Poza tym ciekaw był, co się wydarzyło. Wielką żelazną bramę zastał zamkniętą, więc skierował się na drugą stronę ulicy, do domu.

Jupiter siedział jeszcze przy śniadaniu w towarzystwie ciotki i wuja. Przyjaciel jadł, jak zwykle, twarożek i grejpfruty. Nie wyglądał zbyt wesoło i to nie tylko z powodu diety.

- Nie możemy wydostać Taya z paki - powiedział zboliałym głosem.

Ciotka Matylda kipiała gniewem.

- Sędzia jeszcze ciągle nie ustalił wysokości kaucji! Mój adwokat jest wściekły, ale nie ma sposobu, żeby przyspieszyć działanie sędziego. Prokurator upiera się, że Tay jest w tej sprawie podejrzanym. Obawia się, że chłopak ucieknie. Adwokat jest prawie pewien, że dziś zapadnie decyzja, ale wcale nie ma pewności, że werdykt będzie po naszej myśli.

Wuj Tytus, niski, drobny mężczyzna z ogromnymi wąsiskami, popatrzył na żonę.

- Czy jesteś pewna, że ten nasz krewniak jest w porządku? - zapytał. - Ta jego opowieść słabo trzyma się kupy.

- Jesteśmy pewni, wujku Tytusie - wtrącił się Jupiter. - Znaleźliśmy dostatecznie wiele faktów potwierdzających prawie w stu procentach, że jego historia jest prawdziwa.

- Musimy tylko to udowodnić - dodał Pete.

Wuj Tytus zmarszczył brwi.

- Macie być ostrożni, zrozumiano? Ze złodziejami aut nie ma żartów!

- Będziemy ostrożni, wujku Tytusie. - Jupiter dojadł swój twarożek. - Pójdę teraz otworzyć składnicę. Trochę posiedzimy w Kwaterze Głównej, a potem pojedziemy do miasta. Ciociu, jeśli ustalą wreszcie wysokość kaucji Taya, czy mogłabyś zostawić nam wiadomość na automatycznej sekretarce? Będziemy dzwonili mniej więcej co godzina, żeby sprawdzić, czy jest od ciebie jakiś komunikat.

- Dobrze, Jupe. Zadzwoń tylko jeszcze raz do adwokata i zaraz potem otworzę biuro.

Pete i Jupiter zbliżyli się do bramy i otworzyli elektroniczny zamek za pomocą pilota, którego skonstruował Jupiter. W kwaterze Jupiter opowiedział Pete'owi, co zdarzyło się zeszłej nocy. Pete śmiał się, słysząc o występach El Tiburona i Piranii w prawie pustej pizzerii. Ożywił się, gdy doszło do pojawienia się Torresa w myjni.

- A więc Torres znał człowieka zwanego Tiburonem!

- Oczywiście - Jupiter kiwnął głową. - A teraz musimy tylko wykazać, że to ten sam Tiburon, który prosił Taya o odprowadzenie mercedesa z Oxnard i że facet wiedział o pochodzeniu wozu z kradzieży.

- To wszystko? - spytał Pete. - Od czego zaczniemy?

- Zbierzemy to, czego się dowiedzieliśmy, przyjmiemy hipotezę roboczą i będziemy dalej tak działali, jakby była prawdziwa.

- Co przyjmiemy? Może byś przełożył to na jakiś ludzki język, Jupe.

- Hipotezę, założenia, teorię. W naszym przypadku założymy, że Joe Torres jest rzeczywiście członkiem gangu złodziei samochodów. W takim razie jego udział w kradzieży najłatwiej udowodnić, obserwując Torresa. Zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi.

- To brzmi nieźle - zgodził się Pete. - Kiedy pojedziemy do tej bodegi?

- Jak tylko zjawi się Bob.

- Tymczasem popracuję trochę przy moim corvairze.

- To mi przypomina, że mieliśmy poszukać jakiegoś wozu dla mnie. Kiedy się tym zajmiemy?

- Już mówiłem. Jak tylko doprowadzę corvaira do porządku. To już nie potrwa długo. Na razie i tak musimy czekać tutaj na Boba, nie?

- Wykręty, wykręty...

- Dobra, dobra. Możemy pójść teraz. Znam miejsce, gdzie ludzie sprzedają własne samochody. Tam spróbujemy najpierw.

Jupiter westchnął.

- Jednak teraz nie da rady. Bob może zjawić się w każdej chwili.

Pete opuścił Kwaterę Główną, mamrocząc coś pod nosem na temat facetów, którzy sami nie wiedzą, czego chcą.

Gdy Jupiter został sam, otworzył dolną szufladę biurka, sięgnął ręką do samego końca i wy dobył stamtąd słodką tabliczkę. Włożył ją do ust i z wyrazem

błogości na twarzy zaczął skwapliwie przeżuwać, zerkając co chwila na drzwi, czy nie ukaże się w nich Bob.

Bob się nie zjawiał.

Ani w tej chwili, ani w następnej, ani przez najbliższe pół godziny.

Jupiter wyszedł na zewnątrz, a potem zajrzał do warsztatu. Nikogo tam nie było. Szedł dalej, obchodząc wokół Kwaterę Główną, aż dotarł do miejsca, gdzie znajdował się Pete, znów pochłonięty naprawą swego corvaira.

- Spóźnia się - powiedział Jupiter.

- Jak zwykle - odparł Pete spod maski silnika.

- To ta jego praca - stwierdził Jupe. - Za bardzo lubi swoją robotę dla Saxa i nie ma głowy dla detektywów.

- To te jego dziewczyny - poprawił go stłumiony głos Pete'a. - Za bardzo lubi, jak się za nim włóczy, żeby myśleć o czymkolwiek innym.

- Dziewczyny nie są takie ważne.

Głowa Pete'a wyjrzała spod maski silnika dokładnie w chwili, gdy na teren składu wjechała swoim samochodem dziewczyna z volkswagena rabbita. Nie wychodząc z wozu zawołała:

- Czy jest tu Bobby?

Jupiter pokręcił głową. Pete oświadczył:

- Przykro mi, nie widzieliśmy go.

Karen odjechała z uśmiechem, machając dłonią na pożegnanie. Chwilę później pojawiła się honda. Wysiadła z niej niewysoka dziewczyna, która poprzednio rozmawiała z Jupiterem.

- Widziałeś dziś rano Boba, Jupiter? Ty jesteś Jupiter, prawda? - uśmiechnęła się do niego.

Tym razem Jupe nie był w stanie nawet ruszyć głową.

- Nie widzieliśmy go, Ruthie - odpowiedział za niego Pete i też uśmiechnął się do drobnej blondynki.

Przed odjazdem Ruthie rzuciła jeszcze jedno spojrzenie Jupiterowi.

- Ona cię lubi, Jupiter - zauważył Pete. - Czemu po prostu się z nią nie umówisz?

Jupiter długo patrzył za hondą.

- Naprawdę myślisz, że mnie lubi?

- Nie mogłaby okazać tego wyraźniej, chyba że pierwsza poprosiłaby cię o

spotkanie, a tego większość dziewczyn nie robi.

- Wiem - odparł Jupiter. - Ale dlaczego? Byłoby o tyle łatwiej!

- Nie robią i już. To należy do ciebie!

Jupiter jęknął.

- Może później. Teraz, gdy tylko Bob...

Na teren wjechała trzecia dziewczyna, ta rudowłosa. Nie śmiała się.

- Bob przysłał mnie, żebym was zawiadomiła, że Sax jednak wrócił i Bob musi być w pracy. Później umówił się ze mną, więc będzie zajęty cały dzień.

Zawróciła i odjechała, nie patrząc na chłopców. Pete pokiwał głową, patrząc, jak znika w oddali.

- Nie lubi nas, widziałeś? Uważa, że Bob za dużo się z nami włóczy. Będą z nią kłopoty.

- Kłopoty są z Bobem - odparł Jupiter. - Musimy teraz jechać do bodegi i sami obserwować Torresa.

Zajrzeli do ciotki Matyldy, ale jak dotąd nie miała żadnych wieści od adwokata. Wozem Pete'a pojechali do barrio i zaparkowali forda fiero w pobliżu bodegi, schowani za rogiem przecznicy.

- Za bardzo się wyróżniamy - stwierdził Jupe, gdy zbliżali się sklepiku. - Gdzie by tu się ukryć?

Sądził, że zwracają na siebie uwagę nie dlatego, że byli *Anglos*. Barrio w Rocky Beach nie przypominało wielkich dzielnic latynoskich Los Angeles, Nowego Jorku i innych miast-olbrzymów. W tamtych barrio wszyscy byli Latynosami. Tutaj Latynosi stanowili większość. Pochodzili z rodzin osiadłych jeszcze w czasach, gdy Kalifornia była hiszpańska, a później meksykańska. W dzielnicy przebywało jednak także wielu Anglosasów.

Lecz Jupe i Pete byli tu obcy, łatwo więc prędzej czy później mogli wpaść komuś w oko.

Pete wskazał ręką:

- Tam jest brama, która nas zasłoni. I widać stamtąd bodegę.

Schowani w cieniu bramy rozpoczęli obserwację. To było najtrudniejsze w pracy detektywa: nudne, powolne, monotonne czekanie, aż coś się wydarzy. Ale to właśnie stanowiło sporą część każdego śledztwa.

W południe Jupiter zaalarmował przyjaciela.

- Pete!



Trzy samochody o niskim podwoziu, którymi jechały Piranie, były teraz podniesione jak do jazdy po szosie. Ich kierowcy weszli do bodegi.

- Może kupują coś do jedzenia - zastanawiał się Pete.

Ale gdy po półgodzinie faceci wyszli, nie mieli przy sobie zakupów.

- To mogą być po prostu sąsiedzkie rozmowy - Jupiter był ostrożny w przypuszczeniach, ale w głosie jego brzmiało podniecenie.

Minęły jeszcze dwie godziny.

Potem pojawił się jaskrawopomarańczowy cadillac. Zaparkował przed bodegą. Jego kierowca pospiesznie wszedł do środka. Chwilę później z bodegi wyszedł Joe Torres i wsiadł do cadillaca.

- Chodźmy! - rzucił Jupiter.

Wybiegli z bramy i wpakowali się do forda fiero Pete'a. Pete włączył silnik akurat w momencie, gdy cadillac mijał ich przecnicę.

Cofnął samochód i skręcił za pomarańczowym wozem.

Cadillac wyprzedzał ich teraz o dwa skrzyżowania. Jechał wolno. Pete trzymał się tak daleko, jak tylko mógł. Torres widział wczoraj jego forda fiero, nim został obalony na ziemię przez Jupitera.

Wyjechali z barrio i cadillac skręcił w lewo, w labirynt zakurzonych uliczek schowanych za estakadą szosy wylotowej. Tam lawirował między składami materiałów budowlanych, magazynami, sklepami, w których sprzedawano części samochodowe, i pawilonami handlowymi. Pete jechał za nim, starając się trzymać w jeszcze większej odległości; po tych uliczkach jeździło niewiele samochodów.

Daleko przed nimi cadillac skręcił w prawo. Pete dotarł do skrzyżowania i zobaczył, jak w głębi ulicy pomarańczowy wóz staje przed dużym dwupiętrowym budynkiem z czerwonej cegły. Budynek znajdował się niemal pod samą autostradą wylotową, w pobliżu grupy biurowców, od których zaczynała się porządniejsza dzielnica.

- Lepiej zaparkujmy i dalej idźmy piechotą.

Pete skręcił i wjechał na miejsce przeznaczone do parkowania. Usłyszeli klakson cadillaca. Było to dziwne trąbienie: raz długo, dwa razy krótko, znów długo i jeszcze raz krótko. Zobaczyli, jak wielka brama otwiera się szeroko i cadillac wjeżdża do budynku.

Chłopcy zbliżyli się ostrożnie. Budynek był ostatni w rzędzie. Na parterze nie miał okien, a na obu piętrach okna były zamalowane. W jednym ze skrzydeł bramy,

którą wjechał pomarańczowy samochód, były mniejsze, normalne drzwi.

Nad bramą widniał napis:

STACJA OBSŁUGI SAMOCHODÓW FREEWAY GARAGE  
BLACHARSTWO, LAKIEROWANIE, PEŁNY ZAKRES USŁUG

Mniejszy napis głosił:

Parkowanie abonamentowe:  
tygodniowe, miesięczne i roczne

Pete i Jupe obeszlili budynek od strony przecznicy, aż doszli do skrzyżowania. Na równoległej ulicy stały rzędem podobne ceglane domy. Te, które stykały się z budynkiem stacji obsługi, były niewielkimi, dwupiętrowymi biurkami. Podobnie jak ona, miały tylko po jednym wejściu. Boczne okna tej stacji-parkingu też były zamalowane.

- No cóż - westchnął Pete - przynajmniej Torres nas stamtąd nie zobaczy.

- Ani my jego. Będziemy musieli wejść do środka.

Pete zawahał się.

- No nie wiem, Jupe. Nie mamy pojęcia, co tam zastaniemy. Możemy wpakować się w ładną kabałę.

- Masz lepszy pomysł, jak tam zajrzeć?

Pete wzruszył ramionami.

- Nie, ale ten mi się nie podoba.

- Zachowamy maksymalną ostrożność - przekonywał go Jupiter, gdy podchodzili do wejścia. - Właż pierwszy i rozejrzyj się.

- Wspaniały pomysł! - powiedział z przekąsem Pete.

- Przez te drzwiczki nie możemy wejść obaj jednocześnie - odparł Jupiter. - Torres nigdy cię nie widział, a mnie poznałby od razu.

Pete jęknął.

- Jak to się dzieje, że logika zawsze nakazuje, abym to ja szedł pierwszy?

- No cóż - westchnął niewinnie Jupiter. - Nie wiem. Ale coś ci powiem. Idź

pierwszy, a ja będę szedł tuż za tobą. Zanim posuniemy się o krok, przyjrzymy się wszystkiemu dokładnie. Co o tym myślisz?

- Lepiej chodźmy - odparł Pete.

Wziął głęboki wdech i pchnął małe drzwiczki.

Szybko przeskoczył wysoki próg i rozpląszczył się na prawym skrzydle bramy.

Idący za nim Jupiter przylgnął do lewego skrzydła.

Powitała ich tylko ciemność i cisza.

## ROZDZIAŁ 8

### ZNIKNIĘCIE WOZU

Oczy chłopców powoli przyzwyczajają się do ciemności.

Znajdowali się w ogromnej sali. Strop podierały grube kolumny, a z lampek umieszczonych na suficie sączyło się nikłe światło. Między kolumnami stały w rzędach zaparkowane samochody. Po prawej stronie była szeroka rampa, prowadząca na piętro, przy tylnej ścianie znajdował się szyb wielkiej windy samochodowej. Z boku otaczała go drucziana siatka, z przodu drzwi z desek.

W prawym tylnym kącie sali były jakieś drzwi. Po lewej rząd drzwi oszklonych, prowadzących do biur. Za drzwiami nie paliło się światło, nie było też nigdzie śladu Torresa ani nikogo innego.

Nic się nie poruszało.

- Myślisz, że wszystkie są kradzione? - szepnął Pete, spoglądając na rzędy aut. Jupiter pokręcił głową.

- To wygląda na zwykły parking połączony z warsztatem. Popatrz, kolumny i przedziały są ponumerowane.

- W takim razie gdzie jest strażnik? I stacja obsługi?

- Dobre pytanie.

W przyćmionym świetle, między stojącymi jak duchy samochodami chłopcy zatrzymali się i nasłuchiwali. Po chwili usłyszeli cichy dźwięk dobiegający gdzieś z góry.

- Dość słaby jak na stację obsługi - zauważył Pete.

- To stary budynek - odparł Jupe. - Ściany i stropy są na tyle grube, że pochłaniają hałas. Na górze na pewno ktoś jest.

- Jeżeli mamy tam wleźć, to mam nadzieję, że jest jakaś inna droga prócz windy i rampy.

- Tu muszą gdzieś być schody. Podejdźmy do drzwi po prawej stronie, tych pod rampą.

Zbliżyli się do nie oznakowanych drzwi. Pete otworzył je. Za nimi znajdowała się zakurzona, słabo oświetlona klatka schodowa. Dźwięki z góry były teraz wyraźniejsze, rozlegały się echem. Nie słyszeli jednak żadnych głosów ani kroków. Po żelaznych schodach ostrożnie weszli na piętro. Jupe otworzył drzwi.

Ogromna sala była lepiej oświetlona niż ta na dole. Znajdowały się w niej naprawiane właśnie samochody. Większość z nich wyglądała jak porzucone szkielety. Do tych szkieletów przyczepiono rozmaite elektroniczne przyrządy badające stopień sprężania, wtrysk paliwa, działanie świec i różne funkcje układu elektrycznego. Przyrządy błyskały światłkami i popiskiwały, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo.

- Tak to wygląda, jakby mechanicy odeszli stąd w pośpiechu - zauważył Pete. - Zostawili włączone przyrządy.

- Na dół, w każdym razie, nie zesli. Nikt nas nie mijał, gdy wchodziliśmy.

- No to gdzie się podziali? - zastanawiał się Pete. - I gdzie jest Torres z tym pomarańczowym cadillakiem?

- Widocznie są na drugim piętrze.

Znow w milczeniu ruszyli schodami.

Tutaj rozległa otwarta przestrzeń była oświetlona jeszcze lepiej. Między kolumnami stały samochody. Było ich więcej niż na pierwszym piętrze, ale o wiele mniej niż na parterze. Na tym piętrze zajmowano się blacharką i lakierowaniem.

Ale i tutaj nie było nikogo!

Na podłodze leżały włączone do gniazdek szlifierki, młotki do klepania i inne przyrządy do naprawy karoserii. Stanowiska lakiernicze były zajęte przez samochody. Pracowały kompresory i jednostajnie buczały wentylatory wyciągów. Nikogo jednak nie zastali przy pracy. I ani śladu Torresa, ani śladu pomarańczowego wozu.

- Dziwne - stwierdził Jupe.

- Mój tato zawsze mówi, że w warsztatach nikt nie pracuje, kiedy klient nie patrzy - mruknął Pete.

- Twój tato może mieć rację, ale tu mechanicy jeszcze bardzo niedawno byli przy robocie - zwrócił uwagę Jupiter. - Gdzieś musieli. I oni, i Torres. Spróbujmy lepiej zorientować się, gdzie.

- Myślisz, żeby tam wejść?

- Nikogo przecież nie ma.

- A jeżeli wrócą?

- Musimy zaryzykować - nalegał Jupiter. - Torres i cadillac z pewnością są w budynku

Weszli do sali, Jupiter poszedł przodem. Trzymali się blisko samochodów, posługując się nimi jak osłoną na wypadek, gdyby ktoś znieacka się pojawił. Ale nadal nikogo nie było. Chłopcy mogli swobodnie okrążyć całe pomieszczenie i wrócić

na klatkę schodową. Nie zauważyli po drodze żadnych drzwi ani innych schodów. Winda stała właśnie na tym piętrze, ale w czasie gdy znajdowali się w budynku, nikt jej nie używał. Po rampie też nic nie jechało.

- Żaden wóz nas nie mijał - odezwał się Pete. - Musieliśmy przegapić tego cadillaca. Pewnie jest na którymś z niższych pięter.

Jupiter miał wątpliwości.

- Nie rozumiem, jak moglibyśmy go przeoczyć. No ale chodźmy z powrotem na dół i sprawdźmy jeszcze raz.

Zeszli na palcach na pierwsze piętro. Nie dostrzegli nigdzie pomarańczowego wozu, ale teraz pracował tam mechanik!

- Skąd on się wziął? - szepnął Pete.

- Nie wiem - odpowiedział również szeptem Jupiter. - Ale, jak pamiętasz, tego piętra nie obeszlśmy. Musimy tu też zajrzeć.

- Chcesz chodzić po tym piętrze? Przecież tam jest facet!

- Musimy się upewnić, czy tu nie ma cadillaca.

Z klatki schodowej przesunęli się do sali. Szli cicho, trzymając się w cieniu i chowając za samochodami. Ten samotny mechanik mógł ich odkryć w każdej chwili, ale hałas, jaki czynił, pomógł im poruszać się niepostrzeżenie. Facet wyglądał zresztą na bardzo zajętego pracą, jakby chciał nadrobić stracony czas. Nawet nie spojrzał w górę, gdy dwaj detektywi przemykali w mroku od wozu do wozu.

Ani śladu pomarańczowego cadillaca.

- Widocznie jednak był na parterze - stwierdził Pete, gdy wreszcie znaleźli się w bezpiecznym zaciszu klatki schodowej.

- Chyba że... - powiedział Jupiter i przerwał. W zamyślonych oczach miał lekki błysk. - Chodźmy, sprawdzimy ten parter jeszcze raz.

W zapale Jupiter zbiegał ze schodów zbyt szybko. Byli już prawie na dole, gdy pośliznął się i z głośnym klapaniem zjechał z ostatnich trzech stopni.

Chłopcy zamarli. Wstrzymali dech i nasłuchiwali.

Minęła minuta, dwie, trzy...

Jupiter ostrożnie wstał.

Na parterze panowała niczym nie zmacona cisza, jeśli nie liczyć słabych odgłosów z góry, gdzie pracował mechanik.

- Au - szepnął Pete - niewiele brakowało.

Lekko pobladły Jupiter skinął głową. Wszedł pierwszy w ciemną czeluść

parterowej sali. Za oszklonymi drzwiami pomieszczeń biurowych nadal nie paliło się żadne światło.

I nigdzie nie było pomarańczowego cadillaca.

Przeszukali cały parter, przechodząc od wozu do wozu.

- Powiedzmy sobie to otwarcie - orzekł Pete. - Tutaj go nie ma.

- Nie - odparł Jupiter. W głosie jego słyhać było coś jakby zadowolenie. - I myślę, że wiem...

Nagle w sali rozległo się klekotanie i zgrzyt. Wystraszeni szukali wzrokiem źródła tych dźwięków.

I ujrzeli je. Hydrauliczny mechanizm opuszczał na dół windę samochodową. Była już poniżej pierwszego piętra!

- Ej, co tu robisz?

Z jadącego windą czarnego buicka wychylił się ciemnowłosy mężczyzna. Palcem wskazywał na Jupitera, który stał bezpośrednio pod jedną z lamp. W oknie od strony pasażera pojawił się Joe Torres.

- To ten grubasek z bodegi, Max!

- Stój, mały!

Jupiter uskoczył spod lampy i przykucnął w cieniu koło Pete'a. W jednej chwili obaj chłopcy dali nura za większy wóz kombi. Drzwi windy otworzyły się szerzej i buick wyjechał wąskim przesmykiem między samochodami, by odciąć ich od drzwi frontowych. Przy wyjeździe zatrzymał się z piskiem opon. Z wozu wyszedł Torres, a za nim krępy muskularny kierowca o posturze niedźwiedzia.

- Torres był tu cały czas! - szepnął Pete.

- Pogadamy później - odparł ściszym głosem Jupiter. - Teraz musimy się stąd wydostać!

- Nie wyglądają zbyt groźnie - stwierdził Pete. - Ty już raz poradziłeś sobie z Torresem za pomocą twego dzudo. Ja mogę załatwić tego niskiego moim karate.

Dwaj mężczyźni stanęli i zaczęli rozglądać się wokoło.

- Nie uciekniesz nam, mały - zawołał niski kierowca.

- Uważaj na niego, Max. Ten mały jest całkiem niezły w chwytach dzudo.

Max wyciągnął zza pasa groźnie wyglądający pistolet.

- Na to mu jego dzudo nie pomoże.

Chłopcy wyjrżeli ze swego ukrycia i dostrzegli broń.

Pete przełknął ślinę.

- Teraz wyglądają groźniej.

- Ale nie wiedzą, że ty tu jesteś - szepnęła Jupiter. - To nam daje przewagę. Spróbuję podprowadzić ich do twojej kryjówki. Swoim karate zaatakujesz tego ze spluwą. Potem obaj weźmiemy się za tego drugiego, zanim zorientuje się, skąd przyszedł cios.

Jupiter spokojnie podniósł się i stanął w zasięgu bladego światła.

Po chwili go dostrzegli. Torres wrzasnął:

- Tam jest! Nie ruszaj się z miejsca, mały, jeśli ci życie miłe!

Jupiter przeszedł nagle między rzędami samochodów, oddalając się od drzwi, jakby chciał uciec rampą. Mężczyźni chwycili przynętę.

- Odetnij mu drogę, Joe! - krzyknął Max. - Ja idę z tej strony. - I ruszył naprzód, usiłując zająć Jupitera od lewej.

Prawą stroną pobiegł Torres, wprost na Jupitera. Uzbrojony przeciwnik podchodził z drugiej, próbując zamknąć chłopca w pułapce. Ten szybko zmienił kierunek i wycofał się w stronę biur. Torres musiał zrobić łuk między samochodami, a Max szedł na ukos wprost na Jupe'a.

Teraz obaj przeciwnicy zmierzali w kierunku miejsca, gdzie przykucnął gotów do ataku Pete. Jupiter poruszał się zygzakiem, ściągając mężczyzn coraz bliżej i bliżej Pete'a. Zachowywał się jak osaczone zwierzę, pokonane przez spryt i bystrość Maxa i Torresa.

Już minął Pete'a, a goniący go mężczyźni byli nadal całkowicie zaabsorbowani "osaczeniem". Raz jeszcze zmienił kierunek, by koło Pete'a pierwszy przeszedł uzbrojony Max. Teraz grał przerażonego widokiem Maxa tuż nad sobą.

- To koniec, grubasie - powiedział Max i wycelował prosto w Jupitera. - Nie ruszaj się!

Pete skoczył, wyrzucając prawą stopę na wprost, w uderzeniu *yoko-geri-kekomi*. Pistolet wyleciał z ręki Maxa i poszybował w ciemność, Pete wyprowadził natychmiast z backhandu cios *shu-to-uchi*, prosto w szyję przeciwnika. Trafiony w tętnicę szyjną, Max upadł jak kamień.

Torres zaczął biegiem okrążać samochód, chcąc zaatakować Pete'a. Wtedy ujrzał, jak rusza na niego Jupiter i odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z przeciwnikiem, który już raz go powalił.

To stworzyło Pete'owi możliwość ataku. Jednym, wyprowadzonym z zimną precyzją, potężnym kopnięciem od tyłu, z półobrotu, *mawashi geri*, znokautował



Torresa.

- Wiewmy stąd! - krzyknął.

Popędzili do drzwi.

## ROZDZIAŁ 9

### TAY ODTAJAŁ

Chwilę później siedzieli już w wozie Pete'a. Gdy odjeżdżali, Jupiter obejrzał się. Torres i rewolwerowiec stali obok siebie i gapili się na uykającego forda fiero. Po chwili wbiegli z powrotem do środka.

- Twojemu *sensei* od karate to by się nie spodobało: za szybko doszli do siebie. Zaraz będą nas gonili buickiem.

- Dopiero co dostałem czarny pas - bronił się Pete, kierując wóz na drogę szybkiego ruchu. - Co to za pomysł, o którym mówiłeś na parkingu?

- To już więcej niż pomysł - odparł Jupiter. - Czy zauważyłeś, że wozem Torresa kierował ten cały Max?

- Jasne. I co z tego?

Pete wyjechał na szosę i chłopcy trochę odetchnęli. Nikt już nie zauważy, w którym miejscu z niej zjadą.

- Sądzę, że pomarańczowy cadillac jest skradzionym samochodem - wyjaśnił Jupiter. - Dostarczono go Torresowi, a ten przyprowadził go do warsztatu. To znaczy, że Torres potrzebował kogoś, kto podwiózłby go z powrotem do bodegi. I to właśnie robił Max!

- To gdzie teraz jest cadillac?

- Odpowiedź brzmi: jest nadal tam gdzieś w środku - odparł Jupiter.

- Zwariowałeś? Przejrzeliśmy wszystkie piętra. Nigdzie nie było ani cadillaca, ani drzwi dostatecznie dużych, by mógł przez nie wyjechać.

- Ale Torres gdzieś był, chociaż myśmy go nie widzieli.

- Torres mógł się schować w biurze. Samochód nie mógł.

- Być może. W każdym razie, jestem przekonany, że cadillac został ukradziony i że jest gdzieś w warsztacie. Pytanie tylko, gdzie?

Gdy Pete zjeżdżał z szosy odnogą najbliższą składnicy złomu, wciąż jeszcze myśleli o zaginionym wozie.

Kiedy znaleźli się na terenie składnicy, z biura wyszła ciotka Matylda.

- Sędzia ustalił wreszcie wysokość kaucji za Taya. Możesz mnie podwieźć do sądu.

Jupiter wcisnął się na niewielkie tylne siedzenie samochodu, aby ustąpić ciotce

miejsca z przodu. Pete jechał teraz wolniej i gdy dotarli do sądu, było już po czwartej. W holu ciotka Matylda przedstawiła chłopców czekającemu na nią wysokiemu mężczyźnie o poważnej twarzy.

- To mój adwokat, Steve Gilbar. Jupiter jest moim bratankiem, Steve, a to jego przyjaciel Pete Crenshaw. Szukają dowodów niewinności Taya.

Steve Gilbar uściskał ręce obu chłopcom.

- Cóż, w tej sprawie przyda się każda możliwa pomoc. Policja jest przekonana, że Tay należy do siatki złodziei samochodów, działającej wzdłuż całego wybrzeża między Santa Monica i Venturą. Wy tłumaczyli sędziemu, że w tym wypadku kaucja powinna być szczególnie wysoka. - Zwrócił się teraz do ciotki Matyldy: - Czy przyniosłaś z sobą papiery?

Ciotka potwierdziła.

- Ile wynosi ta kaucja, Steve?

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Moim zdaniem, to oburzające, ale prokurator przywiązuje wielką wagę do osoby Taya. Policja sądzi, że gdzieś mieści się "dziupła", w której rozbierają samochody. Tay jest ich pierwszym zatrzymanym.

- Dziupła! - zawołał Jupe.

- Co za dziupła? O co w tym wszystkim chodzi? - spytała ciotka Matylda.

- Zamiast sprzedawać kradzione wozy, złodzieje rozbierają je i sprzedają oddzielnie te części, które nie są oznaczone numerem - wyjaśnił Jupiter.

- Czyszczą je, owijają i pakują do pudeł, żeby wyglądały jak nowe - dodał Pete. - Potem sprzedają hurtowniom zaopatrującym sklepy z częściami zamiennymi.

- Czy sprzedawcy nie wiedzą, że te części są kradzione?

- Wielu wie o tym dobrze - odparł Steve Gilbar - ale ceny są tak korzystne, że wolą nie pytać.

- Nieliczne części, które producent zaopatrzył w numery seryjne złodziejazki wysyłają za granicę.

- Na takiej sprzedaży w kawałkach zarabiają więcej, niż dostaliby za cały samochód - dorzucił Jupe.

Ciotka pokręciła głową.

- Wygląda na to, że taki proceder trudno powstrzymać. Przecież samochodu podzielonego na części nie da się zidentyfikować!

- Masz rację - potwierdził Gilbar. - Dlatego właśnie Tay jest dla policji takim ważnym ogniwem. Najlepszy sposób powstrzymania przestępców to przyłapanie ich

na kradzieży wozu. - Adwokat spojrział na zegarek. - Już czas, Matyldo. Czy masz książeczkę czekową i potwierdzenie z banku?

Ciotka kiwnęła głową.

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli Tay ucieknie, stracisz te pieniądze?

- Owszem, Steve.

- To chodźmy. Jupiter i Pete, zaczekajcie tu na nas.

Gdy zostali sami w sądowej poczekalni, Jupiter zwrócił się do Pete'a. Założyciel agencji Trzej Detektywi promieniał.

- Łańcuch złodziei i warsztat rozbiórki samochodów! - mówił podniecony. -auta kradzione wzdłuż całego wybrzeża. To na pewno El Tiburon i Piranie używają swoich występów jako zasłony.

- Nie mamy żadnych dowodów, Jupe - zwrócił mu uwagę Pete. - Wiemy tylko, że istnieje Tiburon i że obaj z Torresem kłamią. No i że jeżdżą do warsztatu. Reszta to domysły.

- Mamy jeszcze kradziony samochód, który ktoś kazał Tayowi odprowadzić, mamy powiązania Torresa z Tiburonem przez myjnię samochodów i mamy cadillaca, który zniknął.

- No, nie wiem...

- A teraz mamy Taya! - krzyknął Jupiter.

Szerokim korytarzem szli właśnie w stronę holu ciotka Matylda, Steve Gilbar i Tay. Były więzień wyglądał na zmęczonego i twarz miał bladą, ale uśmiechał się i kroczył raźnie, postukując obcasami kowbojskich butów.

- Dobrze się czujesz? - spytał Pete.

- Cieszę się, chłopcy, że wreszcie odtajałem - odparł i roześmiał się z własnego żartu. - Jak tam corvair?

- Nie miałem czasu się nim zająć.

- Byliśmy zbyt zajęci rozpracowywaniem siatki złodziei samochodów - wyjaśnił Jupe.

- Siatki? - zdziwił się Tay. - Chcecie powiedzieć, że tu działa jakiś gang?

Steve Gilbar kiwnął głową.

- Tak sądzi policja.

- Ach, to dlatego nie chcieli się zgodzić na wypuszczenie mnie za kaucją! - zawołał Tay. - Ale to jest, chłopcy, robota na dłuższy czas. Czegoście się dotąd dowiedzieli?

- Możecie o tym pogadać za minutę - przerwał Gilbar. - Słuchaj, Tay, za tydzień będzie rozpatrywana twoja sprawa: albo postawią cię w stan oskarżenia, albo dochodzenie zostanie umorzone. Tymczasem nie wolno ci opuszczać stanu ani nawet okręgu. Jasne?

Tay i ciotka Matyllda równocześnie kiwnęli głowami.

- A więc do zobaczenia za trzy dni.

Gdy Gilbar odszedł, pozostali wsiedli do wozu Pete'a. Z przodu siedziała ciotka. Jupiter i Tay tkwili z tyłu jak sardynki w puszcze.

- Mielibyśmy drugi samochód - poinformował Taya Jupiter - gdyby Pete ruszył się i pomógł mi coś znaleźć.

Tay uśmiechnął się.

- Ja ci pomogę, Jupe. A teraz opowiedz, czegoście się dokopali i co możemy jeszcze zrobić, by udowodnić, że nie jestem złodziejem, chociaż faktycznie, dałem się wrobić jak frajer.

Wspólnymi siłami Pete i Jupe opowiedzieli Tayowi o wszystkich swoich odkryciach i domysłach. Były więzień słuchał uważnie, ale oczy miał utkwione w lusterku nad głową Pete'a.

- No więc, sądzimy, że El Tiburon i Piranie korzystają ze swoich występów, aby ukryć złodziejski proceder - zakończył Jupiter. Z kieszeni wyciągnął błyszczącą fotografię. - To jest zdjęcie El Tiburona, które zwędziłem z gabloty przy klubie "The Shack". Czy to ten gość, który prosił cię o odprowadzenie mercedesa do Rocky Beach?

Tay uważnie przyjrzał się fotografii.

- Myślę, że tak, Jupe, ale nie jestem pewien. Widzisz, tamtego wieczoru wypłem parę piw. Było ciemno, sala pełna dymu i wszyscy gapiliśmy się na zespół. Nie patrzyłem na niego z tak bliska, rozumiesz? Ale to zdjęcie bardzo jest do niego podobne.

- Czy on nie grał w zespole?

- Nie.

- W jakim klubie byliście?

- Coś niebieskiego... Blue... Tak! "The Blue Lights"!

- A nie "The Deuces"? - spytał Jupiter.

- Tiburon musiałby mieć źle w głowie, żeby do trefnego wozu brać faceta poznanego w klubie, w którym sam występuje - wtrącił Pete.

- Łatwiej byłoby mi go rozpoznać, gdybym mógł go zobaczyć i posłuchać, jak

mówi - stwierdził Tay, przyglądając się fotografii.

- To możemy zorganizować - orzekł Jupiter. - Spotkamy się dziś wieczorem w Kwaterze Głównej i omówimy nasze plany.

Tay nadal wpatrywał się we wsteczne lustro.

- Ciągniemy za sobą jakiś ogon. Od chwili, kiedy opuściliśmy gmach sądu. Prawdopodobnie to gliny mają mnie na oku, ale niewykluczone, że to złodzieje samochodów.

Za nimi jechały trzy wozy: czerwony nissan, porsche, a między nimi czarny amerykański sedan.

- Czy to buick? - spytał szybko Jupiter.

- Nie mam pewności - odparł Tay. - Ale to wygląda na jakiś wóz General Motors.

Pete i Jupiter opowiedzieli mu o czarnym buicku uzbrojonego Maxa. Tay patrzył w lustro.

- Możliwe. Jednak równie dobrze może to być ktoś z policji - odparł.

- Co zrobimy? - zapytał Pete.

- Będziemy ich obserwować - zdecydował Tay.

Dojechali do domu i składnicy. Tay i ciotka Matylda weszli do budynku. Pete i Jupe udali się na teren składnicy. Pete stanął przy bramie i obserwował przejeżdżające czarne auto. Nie był to buick.

- To oldsmobile - stwierdził Pete. - Właśnie skręcił w przecznicę.

- Przeprowadzimy rozpoznanie - zaproponował Jupiter.

Przebiegli przez podwórze i wspięli się na stos skrzyń. Mogli teraz patrzeć ponad wysokim płotem. Czarny wóz stał zaparkowany niemal tuż przed ich oczyma.

Gdy wyjrzeni ponad płotem, wóz odjechał.

- Myślisz, że nas widzieli?

Jupiter kiwnął głową.

- Tak mi się wydaje.

Wrócili do Kwatery Głównej i zawołali Taya, żeby mu o tym powiedzieć.

Tay zbyt się tym nie przejął.

- Dobra, to pewnie gliny. Poczekajmy z następnym ruchem do rana.

Tay zamieszkał w pokoju gościnnym na górze. Pete aż do zmroku majstrował przy swoim corvairze. Jupiter zabawiał się w warsztacie małym wewnętrznym telefonem komórkowym.

Czarny samochód widzieli dwukrotnie. Raz, gdy wól no przejeżdżał koło składnicy. Drugi raz stał, jak przedtem, schowany za płotem.

## ROZDZIAŁ 10

### SPISEK ZAWIĄZANY

W Kwaterze Głównej stał sobie Tay i patrzył przez okno, jakby chciał przejrzeć na wylot płot i zobaczyć ulicę. Działo się to następnego ranka, Tay martwił się czarnym samochodem:

- Stoją tam. Czuję to.

- Kto? - spytał Pete. - Policja czy złodzieje?

- To mogą być jedni i drudzy - rzucił Jupiter od biurka.

- Jupe ma rację - zgodził się Tay. - Pytanie, za kim się tak wloką. Jeżeli za wami, to pewnie faceci, których podejrzewacie, jeśli za mną - pewnie policja.

Jupiter przytaknął.

- Torres i Tiburon nie wiedzieliby, kiedy, a nawet czy w ogóle, cię puścili. Myślę też, że wolą się trzymać od ciebie z daleka, bo mógłbyś rozpoznać Tiburona.

- Rozdzielimy się i zobaczymy, za kim pojedą – zaproponował Pete.

Jupiter zgodził się.

- Chciałbym coś zrobić w warsztacie, a ktoś powinien obserwować ten ich parking, żeby sprawdzić, czy nie pojawi się Tiburon albo Piranie. Bob pewnie znów dziś pracuje. A więc może Pete pojedzie do Freeway Garage, ja wyskoczę na chwilę z Tayem, a później zajmę się swoimi badaniami.

- I będziemy mogli kupić ci samochód - dodał Tay.

Jupiter skwapliwie się zgodził.

- Gdyby pojechali za tobą, Pete, nie zbliżaj się do tamtego warsztatu, póki ich nie zgubisz.

Chłopcy poszli najpierw do wuja Tytusa poprosić go o zgodę na użycie jednej z furgonetek należących do składnicy złomu. Wsiedli do niej Tay i Jupe, a Pete wyruszył swoim poobijanym fordem fiero. Jupe skulił się tak, by z zewnątrz widać było tylko Taya.

Ze składnicy wyjechali razem, ale potem pojechali w przeciwnych kierunkach. Jeśli byli obserwowani, czarny wóz będzie musiał wybrać, kogo ma śledzić.

Tay skręcił na pierwszym skrzyżowaniu. Popędził do następnego, szybko zawrócił i posuwał się tą samą drogą, którą przyjechał.

Czarny oldsmobile jechał prosto na nich! Szybko zaparkował, jakby chciał



pokazać, że nikogo nie śledzi, ale Tay nie dał się zwiść.

- A więc to mnie obserwują - stwierdził. - To znaczy, że to są gliny. Pewnie byli schowani gdzieś koło składnicy. Siądź normalnie, Jupe, spróbujemy dostać dla ciebie jakiś wóz. Niech się głowią, dlaczego złodziej samochodów kupuje używane cztery kółka!

Tay jeździł od sprzedawcy do sprzedawcy i z giełdy na giełdę. Oglądał wozy w granicach możliwości Jupitera i wszystkie odrzucał z pogardą. Nie było ich zresztą wiele. Wreszcie na małej giełdzie w pobliżu stoczni zauważył dziesięcioletnią hondę civic.

Właściciel dwudrzwiowej małodrażówki potrzebował pieniędzy i żądał dokładnie pięciuset dolarów. Twierdził, że wóz ma silnik po remoncie i od tego czasu przejechał niewiele ponad trzydzieści tysięcy kilometrów. Tay sprawdził silnik, wybrał się na małą przejażdżkę z Jupiterem i stwierdził, że silnik jest rzeczywiście świeżo przeszlifowany i że honda to dobry zakup.

Jupiter dobił targu. Wóz miał być gotowy do odbioru następnego dnia, po dopełnieniu wszystkich formalności i wykonaniu paru drobnych napraw, których życzył sobie Tay. Właściciel obiecał założyć brakującą korbkę do otwierania okna i wymienić spaloną żarówkę od górnego światła. Jupiter był tak podniecony, że ledwie mógł mówić. Dotykał małego niebiesko-białego wozu niemal z czcią.

- Jest mój! Czy nie mógłbym go teraz poprowadzić?

Tay roześmiał się.

- Lepiej niech właściciel naprawi te drobiazgi. Teraz skorzystamy jeszcze z furgonetki. Dokąd jedziemy?

Jupe uśmiechnął się.

- Na komendę policji.

Pete przemykał się do Freeway Garage małymi uliczkami. Nie zauważył ani śladu czarnego oldsmobile'a. Dla bezpieczeństwa zaparkował o dwie przecznice dalej, zaraz za składem drewna. Stamtąd poszedł pieszo pod warsztat i usadowił się za płotem okalającym pusty teren po drugiej stronie ulicy.

Minęło kilka godzin. Pod stację obsługi podjeżdżały samochody do naprawy, lakierowania i na parking. Zatrzymywały się przy bramie i trąbiły po parę razy, aż wielkie wrota otwierały się. Pracownikiem dyżurującym przy drzwiach był Max, jeszcze wczoraj uzbrojony towarzysz Torresa. Pete próbował określić, czy któreś z tych

aut jest kradzione. Czasem kierowcy wychodzili zaraz po wjeździe, jakby właśnie zaparkowali wóz. Nie wyglądali oni na biznesmenów, ale Pete nie miał podstaw, by przypuszczać, że samochody, które przyprowadzili, pochodzą z kradzieży.

Tak było do chwili, gdy ujrzał szare BMW typu sedan.

Kierowca zatrzymał się, ale nie od razu zatrąbił: najpierw uważnie się rozejrzał. Potem dał sygnał klaksonem: raz długo, dwa razy krótko, znów raz długo i na końcu raz krótko. Brama otworzyła się i wóz wjechał.

Kierowcą był Joe Torres.

Pete porzucił swój posterunek i pobiegł z powrotem do forda fiero. Podjechał bliżej i zaparkował w miejscu, z którego mógł obserwować bramę.

Dziesięć minut później pojawił się w niej czarny buick z dwoma mężczyznami w środku. Przejechał obok Pete'a, nie zwracając na niego uwagi. Na fotelu obok kierowcy siedział Torres.

Pete ruszył i pojechał za buickiem.

Tay śmiał się głośno, gdy ustawiali samochód na parkingu Komendy Policji miasta Rocky Beach.

- Gliny w oldsmobile'u będą już zupełnie zdezorientowane!

- Patrz! - zawołał Jupiter.

Czarny oldsmobile przejechał obok powoli, z wahaniem, jakby jego pasażerowie nie wierzyli własnym oczom.

- Co my tu właściwie robimy? - dopytywał się Tay. Właśnie wchodzili do budynku komendy.

- Jeśli Tiburon i Piranie kradną wozy podczas występów za miastem, policja powinna mieć wiele zgłoszeń kradzieży samochodów z tych miejsc, w których grali.

- Jasne - zgodził się Tay. - Ale jak dostaniemy te dane?

Jupiter uśmiechnął się.

- Za chwilę zobaczysz.

Spytał o sierżanta Cotę. W odpowiedzi wskazano mu ruchliwy korytarz prowadzący do pokoju komputerowego. Przy pulpicie siedział niski, ciemnowłosy podoficer.

- Jupiter! Chodź tutaj!

I sierżant Cota, i Jupiter byli komputerowymi maniakami. Jupiter często wpadał na posterunek, by z prawdziwym znawcą pogadać na ulubiony temat.

Przybyli podziwiali przez chwilę nową drukarkę laserową, a potem Jupe powiedział:

- To jest mój kuzyn Tay. Przyjechał ze Wschodniego Wybrzeża, pomaga nam rozwikłać pewną sprawę.

Sierżant Cota popatrzył na Taya i po chwili uśmiechnął się.

- Miło mi cię poznać. To co mogę dla ciebie zrobić, Jupe?

- Przygotowuję raport o kradzieżach samochodów - odparł Jupiter - Potrzebne mi są wszystkie dane o wozach skradzionych w ostatnim miesiącu pomiędzy Santa Monica a Venturą.

- Proszę bardzo. Nic prostszego.

Sierżant nacisnął parę klawiszy, by wprowadzić odpowiednie komendy, i po niedługim czasie drukarka zaczęła wyrzucać stronę za stroną. Tak drukowała prawie trzy minuty!

- Czy kradzionych samochodów jest aż tak dużo?

Sierżant Cota kiwnął głową.

- Przyuszczamy, że teraz działa nowa szajka złodziei, ale kradzieży aut jest zawsze mnóstwo. Jesteśmy krajem automobilizmu! - Wręczył wydruk Jupiterowi.

- Dzięki, sierżancie.

- Nie ma sprawy. Jupiter.

Po wyjściu pospieszyli do furgonetki. Oldsmobile'a nigdzie nie było widać, ale odnalazł się, gdy tylko wyjechali na ulicę. Jechał potem za nimi w dość dużej odległości.

- Nie wiedzą, że ich zauważyliśmy - stwierdził Tay. - Niech tak zostanie. Na razie niech sobie za nami jeżdżą. Jak będzie trzeba, to ich zgubimy.

I spokojnie udali się do składnicy.

Czarny buick nie zabrał Torresa z powrotem do bodegi. Zamiast tego, zatrzymał się przed odrapanym, rozsypującym się budynkiem, stojącym w centrum miasta na skraju dzielnicy handlowej. Kierowca wysadził Torresa i pojechał dalej.

Pete zaparkował wóz na ulicy i wszedł za Torresem do zrujnowanego domu. Windy nie było. Przez brudne okno w dachu nad klatką sączyło się słabe światło. Torres wszedł na drugie piętro. Po obu stronach korytarza, nie wyłożonego nawet chodnikiem, znajdowały się odrapane, częściowo oszklone drzwi. Torres otworzył ostatnie drzwi po prawej stronie i wszedł do środka.

Napis na drzwiach głosił:

JAKE HATCH, AGENCJA ARTYSTYCZNA

Pete szybko zbiegł ze schodów, wrócił do auta i pojechał do składnicy złomu. Po drodze rozglądał się, czy nie śledzi go czarny oldsmobile, ale nigdzie go nie zauważył.

Wyskoczył z wozu i popędził do warsztatu. Już od progu krzyknął:

- Jupe!

Wewnątrz Jupiter i Tay uważnie przeglądali wielostronicowy wydruk.

- Jupe, Torres znów przyjechał do tego warsztatu. Innym wozem! Jechałem za nim...

Jupiter odwrócił się.

- Pete! Mam samochód! Prawdziwy, nieduży, cudo, prawda, Tay? Ma nowy silnik i...

- Wspaniale, Jupe, ale posłuchaj...

- To tylko honda civic. Miałem nadzieję na większy wóz, ale, tak czy tak, mamy teraz trzy samochody, więc...

- Torres pojechał do biura Jake'a Hatcha!

- ...biały z szerokim niebieskim pasem. Dostanę go jutro... - Jupiter przerwał. - Co? Torres pojechał... Dokąd?

- Do biura Jake'a Hatcha!

Tay spytał:

- Czy Hatch to ten facet od agencji? Chłopcy potwierdzili.

- Odkryłeś nowe powiązania. Wszystko zaczyna się łączyć w całość - zauważył Tay.

- To co teraz zrobimy? - spytał Pete. - Będziemy śledzić Hatcha?

- Może później - odparł Jupiter. - Najpierw musimy porównać ten wydruk ze spisem wszystkich miejsc, w których w tym miesiącu grał Tiburon i jego Piranie.

- Jak to zrobimy?

- To proste - rozległ się za nimi głos Boba.

Tak byli zajęci rozmową, że nie usłyszeli nawet, kiedy Bob wszedł środka.

- Skoro to takie proste, to powiedz, jak to się robi - domagał się Pete.

- Wślizniemy się do biura Jake'a Hatcha i przejrzymy jego rozkład koncertów! -

uśmiechnął się Bob.

- Jeżeli Hatch nas złapie - ostrzegł Jupiter - nasze szansę dopomożenia Tayowi zmaleją do zera.

- Zadzwoń do Grace i dowiem się, gdzie facet spędza dzisiejszy wieczór. Zawsze jeździ na występy swych zespołów, Sax zresztą też. Będziemy wiedzieli, kiedy się zjawić i ile mamy czasu. Wezmę Grace na pizzę albo coś w tym rodzaju i nie zamknę drzwi na klucz, tak że nie będziecie nawet musieli się włamywać.

Pete zaczerwienił się.

- Przykro mi, chłopcy, ale dziś wieczorem idę z Kelly do kina.

- Ja pójdę z Jupe'em - zaproponował Tay.

- A co z policją?

- Z policją? - zdziwił się Bob.

Jupiter opowiedział o czarnym oldsmobile'u.

- Będziemy musieli ich zgubić - zdecydował Tay. - Trudno, zorientują się, że ich odkryliśmy, ale prędzej czy później musi to nastąpić.

Bob poszedł do Kwatery Głównej zadzwonić do Grace Salieri.

Jupiter i Tay siedzieli w furgonetce naprzeciwko obskurnego budynku, w którym mieściło się biuro Hacha, i czekali, aż pojawi się Bob z Grace Salieri. Czarnego oldsmobile'a zgubili w uliczkach koło stoczni. Ze strony Jake'a Hacha nic im nie groziło: pojechał na wyry do Port Hueneme w towarzystwie jakiegoś zespołu punkowego i spodziewano się go z powrotem najwcześniej o dziesiątej. Jupiter i Tay mieli przystąpić do działania, gdy tylko zjawi się Bob.

- Jest! - zawołał Jupiter.

Bob wyszedł z gmachu. Trzymał Grace pod ramię. Dziewczyna śmiała się, jakby pokazywanie się z chłopakiem w wieku Boba uważała za dobry żart. Trzymała jednak ramię Boba obiema rękami i wyglądała na zadowoloną. Gdy tylko zniknęli w głębi ulicy, Tay i Jupiter przeszli na drugą stronę i wkroczyli do budynku. Większość okien była ciemna, ale na klatce schodowej i na korytarzach paliły się światła.

W biurze Hacha na drugim piętrze panowały ciemności, ale zamek yale był otwarty. Rozkład koncertów z ostatniego miesiąca wisiał na ścianie. Jupiter odczytywał daty i miejsca występów Tiburona i Piranii, a Tay porównywał je z komputerową listą kradzieży samochodów.

Jupiter przerwał, a Tay spojrzał w górę.

- Prawie w każdym miejscu i każdego dnia, gdy koncertowała ta grupa, ginęły jakieś wozy. Dla mnie to już jest jasne, Jupe.

- Ale czy będzie jasne dla policji?

Tay pokręcił głową.

- Nie sędzę.

- Ani ja. Myślę, że musimy złapać ich na gorącym uczynku. Chcę tylko sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Przeczytam ci kilka losowo wybranych miejsc i dat występów innych zespołów Hacha, a ty sprawdź, czy i w tych miejscach znikaly samochody.

Jupiter czytał, Tay sprawdzał, a wynik był ten sam: wozy kradziono prawie w każdym miejscu, w którym pojawiał się jakiś zespół Jake'a Hacha.

- Bez wątplenia Hatch jest w to wmieszany. Może w ogóle to on za tym wszystkim stoi - podsumował Tay.

- Ale wciąż nie umiemy tego udowodnić.

- Dobra, więc co dalej?

Jupiter spojrzal jeszcze raz na spis występów.

- Dziś wieczorem Piranie grają w "Lemon Tree Lounge". To jest w kanionie Topanaga, niedaleko Malibu. Pojedziemy tam. Może uda się zamknąć sprawę już dziś.

## ROZDZIAŁ 11

### W NOCY NIE MA WYBOJÓW!

Gdy po randce z Grace Bob wrócił do Kwatery Głównej, Tay i Jupiter już tam na niego czekali. Od razu opowiedzieli mu o swych odkryciach.

- "The Lemon Tree"? Tak, to klub przy szosie, w lesie w kanionie Topanaga. Jak na Piranie jest dość duży. Ale nas tam nie wpuszczą, Jupe.

- A jeśli będziecie ze mną? - spytał Tay.

- Może. To zależy, jak często policja robi na nich naloty.

- Spróbujemy. A nuż się uda - zdecydował Jupiter.

Po chwili cała trójka siedziała już w furgonetce i jechała Autostradą Nadbrzeżną. W kanionie Topanaga skręcili w ciemną, wąską szosę, prowadzącą w stronę gór. Lokal "The Lemon Tree Lounge" znajdował się mniej więcej osiem kilometrów od szosy. Był to dom w wiejskim stylu, stojący pod wysokimi dębami i eukaliptusami. Drzewek cytrynowych, wbrew nazwie "Lemon Tree", nie było. Na otwartej przestrzeni wokół budynku parkowały liczne samochody. Ze środka dobiegała muzyka rockowa.

Lokal był zatłoczony. Wejścia nikt nie pilnował. Chłopcy bez trudu znaleźli się w środku, wybrali nie rzucający się w oczy zakątek i usiedli.

Goście gadali, śmiali się i popijali, nie zwracając szczególnej uwagi na popisy El Tiburona i Piranii. Zespół grał już na całego. Na pierwszym planie, w białym garniturze tańczył Tiburon i głośno wyśpiewywał:

- La bamba... bamba... bamba!

- Czy to ten sam? - Jupiter wskazał na estradę.

Tay przyjrzał się muzykowi.

- Nadal nie jestem pewien, chłopcy - przyznał. - To wielka różnica widzieć kogoś na scenie, gdy śpiewa i tańczy, i tam... To znaczy, facet wydaje mi się podobny do tego, którego spotkałem, ale nie mam za dobrej pamięci do twarzy. Rozumiecie...

- Może gdybyś mu się lepiej przypatrzył radził Bob.

Obserwowali więc uśmiechniętego śpiewaka i hałasującą za jego plecami czwórkę Piranii. Przy stoliku sąsiadującym z estradą siedziały te same cztery dziewczyny. Pary podrygiwały w rytmie rocka. Niektóre tańczyły jakieś nie znane chłopcom południowe tańce.

Nie musieli, na szczęście, martwić się, że każą im zamówić drinki albo że będą nagabywani przez kelnerki: żadnych kelnerek nie było. Na wszelki wypadek Tay podszedł do długiego bufetu i wziął piwo i dwie cole, by nikt się nie czepiał, że niczego nie piją.

Pierwsza wiązanka melodii dobiegła końca, a Tay wciąż nie był pewien, czy poznaje Tiburona. Podczas drugiej przerwy chłopcy poszli za Tiburonem i Piraniami na parking, gdzie zespół miał zwyczaj odpoczywać.

- Jestem prawie pewien, ale zupełnej pewności nie będę miał nigdy - stwierdził Tay.

Podczas trzeciej wiązanki tłum nadal był gęsty i wcale się nie zmniejszył, nawet gdy Tiburon specjalną wokalizą zakończył ostatni kawałek. W końcu zrobił na scenie pełny szpagat, jego zaczerwieniona twarz błyszczała od potu. Detektywi nie zauważyli niczego, co nasuwałoby myśl o jego udziale w kradzieży.

- Wcale nie zachowują się jak złodzieje samochodów - podsumował Tay.

- Z estrady wozu nie zwędzisz - dodał zniechęcony Bob.

- Pojedziemy za nimi - zdecydował Jupiter. - Może kradną po występach.

Na niebie świecił księżyc. Dwaj detektywi i Tay czekali u stóp wysokich drzew i wsłuchiwali się w szept wiatru. Choć muzyka się skończyła, prawie nikt nie opuszczał klubu. Widocznie to nie muzyka była główną atrakcją tego miejsca i może właśnie dlatego Tiburonowi i Piraniom udało się dostać zaproszenie na występ w "Lemon Tree Lounge".

Światło księżycy rzucało fantastyczne cienie na wysokie góry, otaczające kanion. Krętą górską drogą przejechało parę samochodów. Gdzieś z oddali dochodziło szczekanie psa. Przeważnie słychać było jednak jednostajny gwar, dobiegający przez otwarte drzwi tawerny. Wreszcie ukazał się Tiburon i jego Piranie. Nieśli pudła z instrumentami. Ich niskopodwoziowe samochody, gęsto upstrzone graffiti, były zaparkowane w samym rogu placu. Tuż obok stała półciężarówka wioząca instrumenty. Muzycy załadowali je i wsiedli do swoich wozów. Tym razem samochodów było więcej niż pięć. Towarzyszące Piraniom dziewczyny jechały własnymi autami.

Jupiter przyglądał się wypacykowanym karoseriom. W świetle księżycy i w scenerii górskiego kanionu wyglądały jak malowane duchy.

- Chodźcie, chłopcy! Musimy podejść bliżej.

Jupiter nadal myszkował między zaparkowanymi samochodami. Chłopcy,



trzymając się w cieniu, skradali się w stronę wylotu parkingu. Tiburon, Piranie i ich dziewczyny zapuścili motory i zaczęli powoli wyjeżdżać z placu.

- Teraz nie mają obniżonego podwozia - zauważył Bob.

- Nie mogą - wyjaśnił Tay. - Do Rocky Beach muszą jechać tą górską drogą, a potem autostradą.

Jupiterowi rozwiązało się sznurowadło. Przykucnął, by je zawiązać, jednym okiem spoglądał przy tym na zbliżające się wozy orkiestry.

- Jupe? - przestraszył się Bob.

- Jupiter! - zawołał Tay.

- Coś zauważyłem - szepnął Jupiter. - Połóżcie się na ziemi i popatrzcie na te wozy od spodu.

Leżąc przyglądali się przejeżdżającym samochodom. W obecnej, podwyższonej pozycji, z podwoziem, jak przypuszczali, podniesionym przez mechanizm hydrauliczny, jechały tak jak zwyczajne wozy.

- Wyglądają zupełnie tak samo jak wszystkie inne samochody - stwierdził Bob. - Jeśli oczywiście nie liczyć tych malowanych reklam.

- No właśnie! - zawołał Jupiter, z trudem hamując podniecenie. - Za bardzo przypominają zwykłe wozy. Panowie, spójrzcie pod spód! Zobaczcie, czego im brakuje!

Tay i Bob patrzyli od dołu, a koło nich auta przesuwwały się powoli nad nierównościami gruntowej drogi.

- Według mnie wyglądają zupełnie zwyczajnie - powtórzył Bob.

- Taak - potwierdził Tay, a potem i jego ogarnęło podniecenie. - Nie! Pod spodem nie mają żadnych zabezpieczeń przed wybojami, ani z przodu, ani z tyłu! To nie są samochody nisko-podwoziowe z uniesionym podwoziem! To po prostu zwykłe wozy!

- Zwykłe wozy, wymalowane sprayem, by wyglądały tak samo jak niskopodwoziowe auta orkiestry - potwierdził Jupiter. - A co to za wozy? Przypatrzcie się z bliska!

Bob wpatrywał się uważnie w sylwetki samochodów.

- To mercedes! A to dwa volva!

- Jest i BMW, i jeszcze jeden mercedes - dodał Tay.

- To właśnie zauważyłem mimo ciemności, chłopcy: kształty mercedesa i volva - wyjaśnił Jupiter. - Wozy, które widzieliśmy w "The Shack", były zupełnie innych

marek. Przypuszczam, że zespół nie kradnie tych wozów, dostarcza je tylko do Rocky Beach. Pod maską tych graffiti są bezpieczne, nikt im się nie przygląda. Zwykły zespół rockowy wraca z występu swymi wymalowanymi samochodami.

Gdy ostatnie auto wyjechało na szosę i ruszyło w stronę oceanu, Jupe zerwał się.

- Pospieszcie się, chłopcy, musimy sprawdzić, dokąd zawożą te trefne kółka.

Pobiegli z powrotem do furgonetki i podskakując na wybojach wypadli na szosę. Teraz, gdy Tiburon i jego ludzie mieli samochody normalnej wysokości, jechali na pewno dużo szybciej. Lecz Tay pędził jak strzała po wąskiej, krętej szosie, a Bob i Jupe co sił wyteżali wzrok. Szybko zauważyli ostatni wóz procesji tych rzekomo niskopodwoziowych aut.

- Jeśli te wozy są kradzione - zastanawiał się Bob - to jak dotarły na parking? I gdzie są prawdziwe wozy orkiestry?

- Myślę, że skradli je, wymalowali i dostarczyli na teren klubu inni członkowie bandy - odparł Jupiter.

- Pewnie! Żeby kraść samochody, trzeba doświadczenia - dodał Tay. - Często bawią się w to dzieciaki. Chcą przejechać się dla zabawy, ale szybko wpadają, chyba że po krótkim rajdzie porzucą wóz. Zawodowcy najpierw obserwują samochód, który im wpadł w oko, a potem wybierają odpowiednią chwilę i wóz błyskawicznie znika. Myślę, że Jupe ma rację: wozy porywają prawdziwi złodzieje, malują je i parkują w jakimś umówionym miejscu. Potem orkiestra odwozi im je do domu.

- Ale jak ten zespół tu dotarł? - spytał Bob.

Tay wzruszył ramionami.

- Ktoś ich przywiózł. Może w tej furgonetce z instrumentami. A może odbierają te kradzione wozy gdzieś w pobliżu i już w nich pokazują się na występie.

- Dobra, jeśli zawodowcy kradną samochody - nie dawał za wygraną Bob - to po co im do tego Tiburon i Piranie? Dlaczego sami ich nie podrzucą do tego warsztatu?

- Ponieważ w takim procederze, jak ten, duże ryzyko wiąże się z faktem, że pierwszymi na liście podejrzanych są zawsze zawodowcy. Gdy do policji dociera zgłoszenie kradzieży, każdy gliniarz w okolicy sprawdza przede wszystkim znanych złodziei. A kapusiów gotowych sypać nigdy nie brakuje.

- Większości aresztowań dokonuje się na podstawie poszlak przeciwko znanym przestępcom - potwierdził Jupiter.

- To rzeczywiście niezły trik: do ściągnięcia wozu wziąć zawodowców, a do odprowadzenia kogoś, kogo policja zupełnie nie podejrzewa - zauważył Tay.

- Niezależnie od przyczyny, rolą Tiburona nie jest kradzież samochodu, tylko odprowadzenie go. Jeżeli za nim pojedziemy, powinniśmy dotrzeć do głównej kwatery gangu.

- A co z wozem, który Tiburon dał do odwiezienia Tayowi? - spytał Bob. - Jak to się ma do tej całej teorii? Przecież ten wóz nie był nawet pomalowany!

- Rzeczywiście... - Jupiter zamyślił się. - Sądzę, że to był dodatkowy wóz, który Tiburon ukradł dla siebie, może po swoim występie tego wieczoru.

Tay dodał:

- Gość zdrowo ryzykował, biorąc faceta takiego jak ja. Założę się, że jego szef był wściekły.

- Skoro nie miała go odwozić orkiestra - dorzucił Jupiter - nie było powodu, by pokrywać go graffiti.

- Jupe! - zawołał ostrzegawczo Bob, który przez cały czas patrzył przed siebie.

Z bocznej ulicy wyjechała wielka ciężarówka z przyczepą i szerokim łukiem powoli skręcała w górską drogę. Tay musiał stanąć i poczekać, aż osiemnastokołowy pojazd wyprostuje się i zacznie jechać do przodu. Mijał ich równy strumień wozów jadących w przeciwnym kierunku, a Tay wciąż był uwięziony za wielkim powolnym pudłem.

Wreszcie wjechali na prosty odcinek szosy, dostatecznie długi, by Tay mógł wyprzedzić olbrzyma. Ruszyli z kopyta, chcąc doścignąć muzyków, ale nie było po nich śladu. Na autostradzie Tay rozwinął pełną prędkość. Przy niewielkim o tej godzinie natężeniu ruchu mógł jechać bardzo szybko, ale choć dotarli do Rocky Beach, nadal nie było śladu Tiburona i Piranii.

- Przejeżdż koło myjni i tej ich stacji obsługi - poradził Jupe.

Tay posłuchał, ale samochody zniknęły.

- Co teraz zrobimy? - spytał Tay.

- Nic - odparł Jupiter. - Dziś już nic. Ale jutro zastanowimy się, jak przyłapać złodziei na gorącym uczynku z kradzionym wozem w rękach!

## ROZDZIAŁ 12

### PRZENIKNAĆ DO GANGU

Następnego ranka Pete w obszarpanym podkoszulku z napisem "Bloom County" i Bob w pasiastej koszulce od stroju rugby stali sobie za bramą składnicy, gdy na jej teren wkroczyli Jupiter z Tayem. Wszyscy razem zaszli do Kwatery Głównej i usiedli, by porozmawiać.

Miejsce przy biurku zajął Jupiter.

- Jestem już pewien, że szefem siatki jest Jake Hatch. Ale jak to udowodnić, to inna sprawa...

Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, próbując wymyślić jakiś sposób.

- Jestem wam wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiliście - zaczął powoli Tay - ale to jest zorganizowany gang. Mogą być naprawdę niebezpieczni. Może lepiej pójdźmy na policję z tym, co mamy. W takim interesie tkwią zawsze wielkie pieniądze, a pieniądze oznaczają przemoc.

- Myślisz, że mamy dość danych, żeby policja mogła przejąć sprawę? - spytał Jupiter.

- Albo chociaż nam uwierzyć? - dodał Pete.

Tay pokręcił głową.

- Nie, nie sądzę.

- Więc będziemy kontynuować śledztwo, aż zdobędziemy więcej danych - zdecydował Jupiter. - Zgoda, chłopcy?

- Zgoda - odparł Bob.

- Działamy dalej - potwierdził Pete.

- A więc - kontynuował Jupiter - jesteśmy pewni, że Tiburon i Piranie przewożą kradzione samochody przemalowane tak, by udawały ich niskopodwoziowe pojazdy. I jesteśmy prawie pewni, że miejscem, do którego je zawożą, jest Freeway Garage. Ale nie potrafimy złapać Tiburona i Piranii na szosie, a w stacji obsługi już byliśmy i nie znaleźliśmy niczego.

Tay dodał:

- A jeśli w tym warsztacie prowadzi się rozbiórkę kradzionych wozów na części, faceci na pewno zorganizowali sobie drogę odwrotu na wypadek wkroczenia policji.

- Co oznacza, że z zewnątrz niewiele da się zrobić - podsumował Bob.

- Musimy więc znaleźć się wewnątrz! - zawołał Pete.

- O tym właśnie myślałem przez całą noc - oświadczył Jupiter. - Jeden z nas musi dostać się do gangu.

W przyczepie znów zapadła cisza. Bob zmarszczył brwi i wyglądał na zmartwionego.

- Nie wiem, jak to mamy zrobić, Jupe. Zdążyli już nam się nieźle przyjrzeć.

Tay zaproponował:

- Mnie tak dobrze nie znają. Mogę wyhodować wasy, przebrać się i...

- Obaj, Torres i Tiburon, już cię widzieli, Tay - przerwał Jupiter. - Nie, myślę, że to powinienem być ja sam.

- No wiesz, Jupe! - parsknął Pete. - Obaliłeś Torresa, a i Tiburona nieźle zagiąłeś w tym klubie. Od razu cię sobie przypomną. Nie. Jedyńm, którego nie widzieli z bliska, jestem ja. To moje zadanie. Muszę dostać się do gangu.

Pozostała trójka patrzyła po sobie nawzajem.

- On ma rację - stwierdził w końcu Bob.

Tay kiwnął głową.

- Dobra - zgodził się Jupiter. - Jak zorganizujemy tę infiltrację?

- Infiltrację? - roześmiał się Bob. - Jest takie słowo, Jupe?

- Teraz jest - uśmiechnął się Jupiter. Potem znów spowaźniał. - To jak wprowadzimy Pete'a do gangu?

- Mógłbym starać się o zatrudnienie w charakterze mechanika w tym warsztacie - zaproponował Pete.

- Zbyt ryzykowne i nie uda się - powiedział Tay. - Jeśli oni rozbierają wozy, to przyjmą tylko kogoś zaprotegowanego przez swoich znajomych.

- A praca w charakterze parkingowego? - spytał Jupiter.

- Wygląda na to, że wystarczy im ten facet ze spluwą. A i on pewnie zacząłby coś podejrzewać.

- A ta myjnia? - rzucił Bob. - Tam lubi przebywać Tiburon i jego banda. A myjnie zawsze potrzebują ludzi do ostatecznego przetarcia wozu szmatami. Tam Pete mógłby się zbliżyć do Tiburona, a potem może nawet dostać tę robotę w warsztacie.

- Nieźle - włączył się Tay. - Gadałby dużo o tym, że chce zostać mechanikiem i potrzebuje forsy. Jest szansa, że potem udałoby mu się popisać przed Tiburonem, pokazać, jaki dobry jest w tym fachu...

- To może ciągnąć się bez końca - zaprotestował Jupiter. - Chyba że... Może

spróbowalibyśmy uszkodzić wóz Tiburona tak, by łatwo było go naprawić, jeśli się z góry wie, co zostało zepsute? Wtedy Pete mógłby wkroczyć jak czarodziej i zręczną naprawą zrobić wrażenie na Tiburonie.

- Mogę pod spodem przeciąć parę kabli, tak że w żaden sposób na to nie wpadną - zaproponował Tay. - To powinno zadziałać.

- Myślę, że to dla nas najlepsze wyjście - zgodził się Bob.

- Będziemy musieli jakoś skłonić Tiburona, by zawiózł samochód do myjni - zwrócił uwagę Pete.

- To nie powinno być problemem, skoro myjnia jest ich stałym miejscem spotkań - uspokoił go Jupiter. - Ale infiltracja może mimo wszystko zająć zbyt wiele czasu. Musimy mieć plan rezerwowy.

- Na przykład? - spytał Bob.

- Jeden z nas wynajmie sobie na tydzień miejsce na tym parkingu i schowa się w wozie, by obserwować, co się tam dzieje. Nie jest to tak skuteczne jak infiltracja, ale może uda się zdobyć jakąś wskazówkę, gdzie szukać "dziupli", w której rozbierają samochody.

Tay spytał:

- Kto tam zaparkuje?

- Ja jestem cały dzień zajęty robotą u Saxa - odparł Bob - i trochę też tym piknikiem z dziewczynami na plaży. Ja im tę imprezę właściwie obiecałem i już dwa razy złamałem słowo. Ej, Juve! Ruthie naprawdę chce, żebyś tam przyszedł!

- Tay może sprowadzić na warsztat policję i spłoszyć ptaszki - przerwał pospiesznie Jupiter. - Zostają tylko ja, a więc nie mogę iść na ten piknik. Pójdę od razu po mój nowy samochód.

- Poczekaj chwilę - powstrzymywał go Pete. - A jeśli w warsztacie będzie Torres albo ten facet ze spluwą? Oni cię znają.

- Jeśli będzie tam Torres, muszę czym prędzej zwiewać - przyznał Jupiter. - Ale nie sądzę, by ten Max rzeczywiście mnie widział. Tak czy owak, nie ma nikogo innego. W końcu ty też ryzykujesz w tej myjni.

Pete przełknął ślinę.

- Przypuszczam, że wszyscy podejmujemy jakieś ryzyko. Dobra, ruszam do myjni i zatrudniam się przy wycieraniu samochodów.

- A ja pożyczę furgonetkę i zawiozę Jupitera po jego wóz - dodał Tay. - A potem będę obserwował Pete'a z tego "Taco Bell", o którym mi mówiliście. Jeżeli będą się za

mną ciągnęły gliny, zobaczą tylko, że wcinam parę *tacos*.

Jupiter sięgnął do szuflady biurka i wyjął stamtąd pieniądze na opłatę parkingową. Potem wstąpił do swego warsztatu. Po chwili wrócił z trzema maleńkimi radiotelefonami dla całej trójki.

- Najlepiej, żeby Pete miał na sobie roboczą koszulę i krawat, wtedy będzie mógł ukryć radiotelefon pod węzłem. Zasięg nie jest duży, ale Pete może mówić z Tayem, a ja postaram się być w kontakcie z kimś czekającym na zewnątrz warsztatu.

Ze składnicy złomu wyjechali równocześnie. Bob do biura Saxa Sendlera, Pete po koszulę i krawat, a potem do myjni, a Tay i Jupiter udali się po hondę Jupe'a.

- Do zobaczenia w Kwaterze Głównej - pożegnał Taya Jupiter, gdy wreszcie siadł za kierownicą wymarzonego wozu.

Tay uśmiechnął się.

- Prowadź ostrożnie!

Jupiter odjechał z uśmiechem dziecka, które dostało nową zabawkę. Pierwsza misja jego nowych czterech kółek! Mały samochodzik prowadziło się lekko, był zwrotny i dobrze trzymał się jezdni. Nawet w niewielkie przerwy między pojazdami wślizgiwał się jak wąż. Jupiter specjalnie wybrał dłuższą drogę do Freeway Garage, by dłużej cieszyć się wozem.

Dojechał wreszcie do parkingu i głośno zatrąbił.

Żadnego odzewu.

Po kilku minutach zatrąbił jeszcze raz.

Z małych drzwiczek w bramie wyjrzał mężczyzna. Był to ów krepy rewolwerowiec Max!

- Tak?

Jupiter z trudem przełknął ślinę, by opanować strach, ale mężczyzna zdawał się go nie poznawać. W mdłym świetle parkingowych lampek Max nie mógł widzieć go wówczas wyraźnie.

Jupiter odetchnął głęboko i uśmiechnął się arogancko, najlepiej jak umiał.

- Potrzebuję parkingu na tydzień - oświadczył.

Max odwrócił się.

- Nie mamy wolnych miejsc.

- Przeważnie będę zostawiał wóz tutaj - ciągnął Jupiter, udając, że nie słyszy - ale od czasu do czasu będę musiał wyjeżdżać i przyjeżdżać. Czy to się da zrobić?

Mężczyzna odwrócił się i jeszcze raz spojrzał na Jupe'a.

- Spadaj, głupolu!

I wszedł z powrotem do środka.

Jupiter siedział w swej hondzie i zastanawiał się, co robić. Musiał w końcu przyznać, że nie wie. Skoro nie chcą mu dać miejsca na parkingu, nie mógł nic na to poradzić. Ponury wrócił do składnicy. Miał nadzieję, że Pete'owi poszło lepiej.

W warsztacie ani w przyczepie nikogo nie było.

Jupiter czekał i nie bez poczucia winy żuł tabliczkę czekolady, którą wyciągnął ze swego schowka. Potem zdecydował, że dieta grejpfrutowo-twarożkowa mu nie odpowiada. Znajdzie sobie nową! To postanowienie wprawiło go w dużo lepszy nastrój. Wyszedł na dwór, by jeszcze raz podziwiać swój nowy nabytek. W przyczepie zadzwonił telefon.

- Jupe! - To był Tay. - Z myjni właśnie wyszło dwóch facetów. Rzucili Pete'owi drelich i kazali mu wziąć się za wycieranie i polerowanie samochodów.

- A co z Tiburonem i Piraniami?

- Jeszcze ich tu nie ma. Zostanę i będę na nich czekał. A jak tobie poszło?

- Nie poszło - odparł posępnie Jupiter i opowiedział Tayowi o spotkaniu z Maxem.

Tay parsknął śmiechem.

- Nic a nic mu nie wierzę. Ten facet chce po prostu dostać do łapy parę dolców. Podjedź po mnie, wybierzemy się tam obaj.

- Myślisz, że chce łapówkę?

- Jasne. Tacy goście zawsze chcą małego "napiwku" za znalezienie wolnego miejsca. A najlepsze miejsce dostaje ten, kto najlepiej posmaruje.

- Zaraz będę.

Jupe wskoczył z powrotem do hondy i szybko podjechał pod "Taco Bell". Tay wyszedł mu naprzeciw.

- Czy nie powinieneś tu zostać i obserwować? - spytał Jupe.

- Dotąd nic się nie zdarzyło, a to nie potrwa długo.

- Dobra, ale ty prowadzisz. Ja schowam się z tyłu. Potem ty wyjdiesz z parkingu, a ja zostanę w środku.

- To chodźmy.

Tay ruszył z Jupiterem z tyłu na podłodze i z pieniędzmi Jupitera w kieszeni. Przy piątym skrzyżowaniu zaklął.

- Znowu te gliny. Tym razem niebieski aries, ale ja ich wyczuwam na kilometr.



- Jupiter usłyszał, jak Tay się śmieje, a potem zaczyna mówić do policjantów: - Dobrze, chłopcy, sami tego chcieliście. Trzymaj się, Jupe!

Samochód wystrzelił do przodu jak rakieta. Jupiter przywarł do tylnego siedzenia. Tay pędził jak strzała. Wóz skręcał z piskiem opon, a Jupiterem rzucało jak workiem po podłodze jego małowitrazówki. Ale martwił się nie o siebie.

- Mój wóz! - zawodził. - Rozwalisz go!

Tay śmiał się.

- Nie, nie! To twardy maluch!

Gnieciony i objany. Jupiter słuchał, jak jego samochód skrzypi i jęczy przy nagłych skrętach i gwałtownych przyspieszeniach. Podskakiwał i grzechotał na wybojach, jakby Tay prowadził go po zaorany polu albo po podkładach kolejowych.

Potem nagle wóz zwolnił i przestał skakać. Tay znów się roześmiał.

- Zgubiłem ich. Z tobą wszystko w porządku?

- Chyba tak - westchnął Jupiter. - Czy nic się nie stało samochodowi?

- Nic a nic. - Tay zachichotał. - Jesteśmy prawie na miejscu. Nie podnoś się.

Jupiter leżał sztywno, wóz zatrzymał się. Tay zatrąbił. Przed budynkiem pojawił się znów Max rewolwerowiec.

- Tak?

- Potrzebny mi parking na tydzień - powiedział Tay.

- Nie ma miejsca.

- Pan wygląda na gościa, który zna swoją cenę. Ile kosztuje tydzień z góry?

Chwila milczenia. Potem:

- Pięćdziesiąt dolców.

- O, to ledwie połowa tego, czego się spodziewałem. Powiedzmy sto. Mam je przy sobie. Gotówką.

Zapadła cisza, a potem Max odezwał się:

- Chyba uda się gdzieś pana wcisnąć.

Brama otworzyła się i honda wjechała do ciemnego budynku. Została zaparkowana w przedostatnim rzędzie.

- Dobra, jesteś w środku - rzucił Tay.

Jupiter jęknął.

- Ta setka to wszystko, co mieliśmy w skarbcu.

- To było jedyne wyjście, Jupe. Wrócę teraz stopem do myjni i zobaczę, co można zrobić, żeby pomóc Pete'owi. Wpadnę po ciebie koło piątej.

Jupiter został sam w ciemnościach.

## ROZDZIAŁ 13

### WIELKA WYGRANA!

W myjni do Pete'a należało wycieranie i pucowanie każdego wozu, który wyjeżdżał spod natrysku. Tak jak towarzysze pracy, chodził ze szmatami i płynem do mycia szyb. Pracowali grupowo.

Podczas roboty Pete był cały czas czujny, gotów w każdej chwili zareagować na pierwszy znak obecności Torresa lub Tiburona i Piranii. Minęło popołudnie, ale nie zobaczył niczego prócz ociekających samochodów, zjeżdżających z automatycznej myjni i Taya popijającego colę i jedzącego *burritos* w sąsiadującym z myjnią "Taco Bell".

Pete pracował dalej.

Tay dalej czekał...

W ciemnościach parkingu Jupiter uniósł się, chcąc wyrzeć przez okno. Zaparkowane wozy stały cicho w nikłym świetle lamp.

Stopniowo zaczął odróżniać odgłosy pracy mechaników z pierwszego piętra. Mógł słyszeć nawet słabe dźwięki dobiegające z drugiego piętra: buczenie i stukanie kompresorów, dostarczających powietrza do rozpylaczy lakieru.

Natęzał słuch, by jeszcze cokolwiek usłyszeć. Pomarańczowy cadillac zniknął w tym budynku... A Joe Torres i ten z rewolwerem też musieli się gdzieś znajdować, nim wyjechali w czarnym buicku.

Ale gdzie?

O czwartej Tay spojrział na zegarek. W myjni nic się nie zdarzyło. Wszystko, co widział, to jednostajny strumień wozów, które Pete i jego koledzy oblepiali jak mrówki pień pełen miodu.

Ani śladu Tiburona i Piranii lub ich dziewczyn. Nie pojawił się też Joe Torres. Zbliżała się chwila, gdy trzeba będzie wyruszyć po hondę i Jupitera.

Niedługo wszyscy będą musieli zakończyć dzisiejszą robotę.

Dwa razy Jupiter musiał dać nura, bo Max robił obchód piętra. O czwartej trzydzieści jeszcze raz spróbował wysliznąć się ze swej hondy. Przez ciemny parking

skradał się teraz w stronę windy samochodowej i czujnie nasłuchiwał, czy nie wraca Max. W tym czasie nie wjechał ani jeden samochód, ani kradziony, ani żaden inny.

Oglądał teraz cały parter, by sprawdzić, czy nie zauważy czegoś, co wówczas z Pete'em przeoczyli. Otworzył nawet drzwi do pomieszczeń biurowych. Wszystkie albo były używane jako przechowalnie rupieci, albo stały nie umeblowane, zupełnie puste.

Poszukiwania zakończył przy windzie, koło drzwi z desek. Dźwig stał na parterze. Szeroki szyb ponad kabiną był równie ciemny jak parter, tylko tam, gdzie na pierwszym piętrze winda otwierała się, widać było prostokąt światła.

Odgłos kroków zupełnie go zaskoczył.

Max schodził z rampy.

Wreszcie Tiburon i Piranie pojawili się w myjni. Przyjechali swymi niskimi wozami i wyglądali jak banda wyjętych spod prawa opryszków z Dzikiego Zachodu, chroniąca się w swej bazie świeżo po napadzie. Była piąta. Myjnię o tej porze zamykano. Gdy Tiburon wkraczał do biura właściciela, Pete właśnie dostawał wypłatę.

- Dziękuję panu - powiedział Pete tak głośno, by wszyscy go słyszeli. - Na pewno przydadzą mi się te pieniądze. Tata jest bez pracy, więc gdyby słyszał pan o kimś, kto potrzebuje dobrego mechanika, byłbym wdzięczny za wiadomość.

- W porządku, Crenshaw - odparł właściciel. - Dobrze pracujesz, więc będę pamiętał.

- Jestem naprawdę dobrym mechanikiem - podkreślił Pete - i podejmę się każdej pracy, by zarobić trochę grosza.

Widząc, że Tiburon mu się przygląda, Pete wyszedł. Nie chciał, by sprawa była szyta zbyt grubymi nićmi. Po wyjściu pomaszerował do samochodu, który zaparkowany był o dwie przecznice dalej.

Gdy przechodził koło "Taco Bell", zobaczył, że Taya już tam nie ma.

Na dźwięk kroków Maxa Jupiter wstrzymał dech. Facet zbliżał się. Nie było już czasu na powrót do hondy, ledwie starczyło go na schowanie się za najbliższym wozem.

Max przechodził teraz wąskim pasem między windą a pierwszym rzędem samochodów. Wystarczyłoby jedno jego spojrzenie trochę w lewo i w dół, by zauważył Jupitera. Wzrok jego ślizgał się po samochodach. Za chwilę skieruje się dokładnie na miejsce, w którym chłopiec przykucnął.

Szef Trzech Detektywów położył się plackiem na brudnej podłodze i przetoczył się pod wóz. Stopy Maxa widział o kilkadziesiąt centymetrów od swej głowy. Uzbrojony facet zatrzymał się, jakby chciał dokładniej obejrzyć puste przejście.

Jupiter oddychał powoli, ocierając czoło z potu i oleju. Wydawało się, że Max nigdy się stąd nie ruszy... Nogi jego były teraz tak blisko, że Jupiter mógłby ich dotknąć.

Potem otworzyły się małe zewnętrzne drzwi, wpuszczając długi snop promieni przedwieczornego słońca.

- Tak? - reakcja Maxa była natychmiastowa.

Odpowiedział mu wyraźny głos Taya:

- Dobry wieczór. Przyszedłem wziąć swój samochód.

- Pokaż pan bilet.

- Proszę - odparł Tay.

Nogi zniknęły. Jupiter odczekał dłuższą chwilę, a potem wytoczył się z drugiej strony wozu i ostrożnie sponad niego wyjrzał. Strażnik szedł ku drzwiom frontowym, a Tay stał w promieniach światła.

Jupiter podniósł się i pomachał ręką, i znów padł na ziemię, by między rzędami aut jakoś dotrzeć do swej hondy. Miał nadzieję, że Tay go zauważył i dostatecznie długo zatrzyma Maxa.

- O szóstej zamykamy - usłyszał głos strażnika. - Jeśli nie wróci pan do tej godziny, poczeka pan na parking do jutra.

- Dziś już nie będę parkował - odpowiedział mu głos Taya. - Czy ma pan telefon, z którego mógłbym skorzystać?

- Tam, na ścianie.

- Pokaże mi pan, gdzie?

- Dużo pan żąda za swoje marne sto dolców!

To odwrócenie uwagi strażnika pozwoliło Jupiterowi dojść do hondy i wśliznąć się do środka. Parę chwil później wszedł do niej Tay. Ruszyli. Gdy Tay zwalniał przy bramie, Max pochylił się nad wozem.

- O szóstej albo czeka pan do jutra.

- Jutro od której?

- Są tacy, co otwierają o siódmej rano. Nie ja.

Tay roześmiał się z żartu. Max się nie śmiał. To nie miał być żart. Facet czuł się ważny przez to, że nie musi przychodzić na siódmą rano.

- Z tobą wszystko w porządku. Jupiter?

- W porządku, tylko że niczego nie znalazłem.

Drzwi warsztatu zamknęły się za nimi. Na pierwszym skrzyżowaniu Tay skręcił i stanął przy krawężniku. Jupiter otworzył drzwi od strony pasażera, wygramolił się z wozu, a potem usiadł na przednim siedzeniu.

- Czy Tiburon przyjechał do myjni?

- Dopiero o piątej.

W składnicy złomu pospieszyli do swej przyczepy. Pete przeliczał wypłatę, by wrzucić ją do wspólnej kasy.

Telefony do Boba nie dawały wyników. Nie zastali go ani w domu, ani w pracy. Trzeci Detektyw był nieuchwytny. Należało zaplanować dalszy ciąg akcji bez jego udziału.

- Myślę, że powinniśmy kontynuować nasze dzisiejsze działania - proponował Jupiter. - Pete pojedzie do myjni, Tay będzie czekał na okazję uszkodzenia wozu Tiburona, a ja dalej będę obserwował ich warsztat.

- Oby jutro Tiburon pokazał się wcześniej - westchnął Tay - bo inaczej będziemy mieli twardy orzech do zgryzienia.

Tiburon rzeczywiście pojawił się wcześniej, lecz Tay nie miał możliwości uszkodzenia jego wymalowanego wozu. Jupiter spędził cały dzień na obserwowaniu parkingu, ale niczego nie zauważył. Jediną dobrą stroną tego wszystkiego był fakt, że Tiburon polubił energię i humor Pete'a, a także jego pleciony krawat ze spinką w kształcie głowy rekina, ukrywającą miniradiotelefon!

- Jak na Anglo fajny z ciebie facet - stwierdził szef Piranii. - Ta spinka też jest niezła. Co byś powiedział, gdybyśmy znaleźli ci robotę za sporą forszę?

Pete odparł, że chętnie, ale tego dnia nic więcej się nie zdarzyło. Czas uciekał. Za trzy dni kończyły się wiosenne ferie.

Następnego dnia Tay znalazł jednak swą wymarzoną okazję. Tiburon i Piranie przyjechali wcześniej i zatrzymali się w "Taco Bell". Gdy wszyscy znajdowali się w środku i sprzeczali się, ile czego zamówić, Tay wśliznął się pod wóz Tiburona i w układzie elektrycznym przerwał dwa niewidoczne kabelki. Potem wyjaśnił Pete'owi, co trzeba zrobić, by usunąć uszkodzenie. Pete miał po prostu z powrotem połączyć druciki.

Kiedy Tiburon spróbował zapuścić motor, rozrusznik nie zadziałał. Od swego

stanowiska w myjni Pete widział, jak po kolei różni ludzie kręcą się, kłócą i kiwiają głowami nad popsutym wozem. Najpierw próbował właściciel myjni, potem jeden ze starszych pracowników. W końcu, ze swego miejsca w "Taco Bell" Tiburon wrzasnął:

- Hej, ty nowy *Anglo*, chodź no tu!

Pete idąc wycierał ręce w szmatę.

- Ja?

- Podobno z ciebie niezły mechanik, nie? To pokaż, czy potrafisz uruchomić tę maszynę.

Pete pochylił się nad otwartym silnikiem. Popatrzył na blok, obejrzał akumulator i świece i trochę pohłasował. Potem położył się pod wozem, gdzie, jak wiedział, znajdowały się przerwane kabelki. Nikt dotąd tam nie zajrzał.

- Czy ktoś mógłby mi podać klucz nasadowy dwunastkę? - zawołał Pete z dołu.

Nastąpiła chwila dyskusji na temat narzędzi. Właściciel myjni poszedł w końcu do swego biura i przyniósł właściwy klucz. Pete klucza wcale nie potrzebował, ale chciał wywrzeć większe wrażenie. Wyłonił się spod wozu z kluczem w ręku i powiedział:

- Spróbujcie teraz.

Silnik zaskoczył od razu.

- Ej, ty się naprawdę znasz na samochodach! - Tiburon popatrzył na Pete'a z namysłem. - Pogadam z paroma ludźmi, może byś im się przydał. Zarobki są naprawdę, naprawdę dobre. No, mówię ci, naprawdę... *Comprendes?*

Tiburon dawał w ten sposób do zrozumienia, że robota jest nielegalna, i pytał, czy Pete zrozumiał. Chłopak kiwnął głową.

Jupiter drzemał w hondzie, gdy nagle usłyszał głos Taya, dobiegający gdzieś spod drzwi warsztatu:

- Wpadłem tylko zabrać coś z mojego wozu.

- Nie rób pan z tego zwyczaju. Nie lubimy, jak nam się tu ludzie kręcą przez cały dzień.

Jupiter sturlał się z siedzenia, by zniknąć z oczu.

- Co słyhać? - zapytał szeptem.

Tay pochylił się, jakby szukał czegoś w wozie.

- Nasz trik zadziałał! Tiburon powiedział Pete'owi, że ktoś wpadnie po niego do myjni i zabierze go do warsztatu.

- Kiedy?

- Jeszcze dziś. Jeśli to tutaj rozbiera się samochody, powinien przejechać koło ciebie.

Po wyjściu Taya Jupiter usadowił się tak, by móc nadal wszystko widzieć. Ogarnęło go podniecenie. W hondzie miał świetny punkt obserwacyjny, mógł teraz zobaczyć, dokąd biorą Pete'a. Wtedy wreszcie dowie się, gdzie ukrywają tę "dziupłę".

Minęła jeszcze godzina... Dwie... Zegar wskazywał już piątą. Nic... O szóstej Jupiter usłyszał, jak Max zamyka wielką dwuskrzydłową bramę. Pete się nie pojawił. Ani Pete, ani nikt inny. Czyżby mylili się, a "dziupła" mieściła się gdzie indziej?

Nieoczekiwanie cichutko zapiszczał radiotelefon. Jupiter włączył go. Głos Taya w słuchawce był cichy, lecz naglił:

- Jupe, mamy kłopoty! Poważne kłopoty!



## ROZDZIAŁ 14

### KÓŁKA FORTUNY CZY NIEFARTU?

- Jestem zamknięty - bąknął Jupiter do swej słuchawki.

Głos Taya odpowiedział:

- Wymknij się. Spróbuj małymi drzwiami.

Jupiter cicho podszedł na palcach do wyjścia.

Brama była zamknięta na kłódkę, ale małe drzwiczki tylko na zasuwkę. Jupe przekręcił gałkę, wysliznął się na zewnątrz i zaraz dostrzegł stojącą na rogu furgonetkę.

- Wsiadaj! - ponaglił go Tay.

- Co się stało?

Tay był zupełnie wytrącony z równowagi.

- Jakies piętnaście minut temu do składnicy przyjechał Bob. Wpadł jak bomba. Wiózł dziewczynę Pete'a, tę jego Kelly Madigan. Kelly mówiła, że Pete opowiedział jej, co robi w myjni i w ogóle wszystko o Tiburonie i kradzionych samochodach.

Jupiter jęknął.

- Musiał jej wszystko wypaplać!

- Może i dobrze, że wypaplał. Kelly właśnie odkryła, że inna uczennica jej szkoły, Tina Wallace, jest najnowszą babką Tiburona. Cały czas trzymają się razem. A Tina zna Pete'a, wie, czym się zajmuje, i słyszała całą historię Trzech Detektywów!

Jupitera замуrowało.

- Jeżeli zauważy Pete'a...

- Może opowiedzieć o nim Tiburonowi.

- A spostrzec Pete'a może w każdej chwili.

- Kelly mówi, że Tina to dobra dziewczyna i prawdopodobnie nie wie nic o złodziejskim procederze Tiburona. Ale nigdy nie wiadomo, czy nie natknie się na Pete'a i z czymś się nie wygada.

Jupiter i Tay dotarli do składnicy złomu i weszli do przyczepy, w której mieściła się Kwatera Główna. Kelly i Bob już tam na nich czekali. Żwawa, ciemnowłosa nastolatka na widok wchodzących zerwała się na równe nogi.

- Znaleźliście go? - zapytała. - Wyciągnęliście go stamtąd?

- Nawet nie wiemy, gdzie jest - odparł Jupiter. - Tay, czy jesteś pewien, że Pete

wyjechał z myjni?

- Tak. Tiburon odjechał, wrócił jeszcze raz do myjni i znów rozmawiali. Potem Pete pokazał mi kciuk uniesiony w górę i odjechał z Tiburonem swoim samochodem.

- W takim razie musimy go znaleźć - zdecydował Bob.

- Ale jak? - dopytywała się Kelly, patrząc na chłopców.

Bob i Tay spojrzeli na Jupitera. Kelly, już prawie we łzach, usiadła naprzeciw niego.

- Jupiter - powiedziała błagalnie. - Proszę...

Założyciel agencji Trzej Detektywi wpatrywał się w ścianę, jakby chciał ją na wylot przewiercić spojrzeniem. Dolną wargę naciskał palcami, co było oznaką głębokiego zamyślenia.

- Założmy, że Pete'a zabrano do pracy w "dziupli", w której rozbierają wozy na części. A więc mamy właściwie ten sam problem: jak odnaleźć ów warsztat. - Powiódł wzrokiem po zebranych. - Nie wystarczy nam wiedzieć, czy jest na terenie parkingu, musimy dokładnie określić, gdzie się znajduje. Jednym słowem, musimy sami się tam dostać.

- Poczekaj - przerwał mu Tay. - Twierdzimy, że w tym budynku jest Pete. I sądzimy, że w tym samym miejscu rozbiera się samochody. Czy nie byłoby najprościej skontaktować się z Pete'em, a on już nam powie, gdzie go szukać?

- Tak! Tak! - krzyknęła podskakując Kelly.

- Nie - zaprotestował Bob. - Nie wiemy na pewno, czy ten warsztat jest przy parkingu. A poza tym, nie możemy ryzykować łączenia się z Pete'em przez radiotelefon. Nie wiadomo, czy w pobliżu nie będzie akurat kogoś, kto usłyszy...

- Bob ma rację - stwierdził Jupiter. - Zdaje się, że mam już plan, ale możemy się nim posłużyć tylko pod warunkiem, że dziś wieczorem nie będzie w mieście Tiburona i Piranii. Bob, czy mógłbyś sprawdzić...

- Nie będzie go! - triumfalnie wykrzyknął Bob. - Ledwo mogę uwierzyć swojemu szczęściu! Oglądałem ich plany z czystej ciekawości. Dziś mają wspólny koncert kilku orkiestr na świeżym powietrzu w Malibu.

- Szczęście sprzyja umysłom przygotowanym - wyrecytował Jupiter. - Spojrzałeś na te plany, bo lata pracy w charakterze detektywa podpowiedziały ci, że ta informacja może się przydać.

- Wszystko jedno - odparł Bob. - Dlaczego nie chcemy ich w mieście?

- Ponieważ musimy zaryzykować. Zakładam, że mercedes nie był jedynym

wozem, który Tiburon zwędził i odesłał do bodegi. A prawdopodobnie podrzucaniem samochodów do bodegi zajmują się nie tylko członkowie zespołu, ale także inne osoby. Gdy Torres podrzucił do warsztatu pomarańczowego cadillaca, dał klaksonem umówiony sygnał, a mówił mi Pete, że tak samo zatrąbił, gdy wiozł drugi wóz. Myślę więc, że to, co Tay miał powiedzieć w bodedze, też było rodzajem hasła...

Tay obserwował Jupitera nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Co masz na myśli, Jupe? - zapytał.

- Tiburon jest poza miastem. Weźmiemy samochód i podwieziemy do bodegi. Przekażemy go Torresowi. Przy odrobinie szczęścia Torres zawiezie go do tej ich "dziupli".

- Co to da Pete'owi? - dopytywała się Kelly.

- Dwóch z nas schowa się w tym wozie - odparł Jupiter. - Wpadłem na ten pomysł już dawniej, ale wydawał mi się zbyt ryzykowny. Teraz musimy podjąć ryzyko...

Bob wystąpił z najważniejszym pytaniem:

- A kto schowa się w wozie?

- Jesteś jedynym, którego Torres nie zna - odpowiedział Jupiter. - Musisz siedzieć za kierownicą. Schowa się Tay i ja.

- A jak już dostarczę ten samochód, co mam dalej robić?

- Wsiądziesz do własnego wozu i pojedziesz za Torresem.

- A skąd będę miał wóz, skoro poprowadzę kradziony?

- Za tobą pojedzie Kelly i zaczeka gdzieś w ukryciu.

Jupiter skończył. Wszyscy siedzieli zamyśleni, zastanawiając się, jak zrealizować plan.

- Skąd weźmiemy ten wóz, Jupe? - spytał Tay. - Na nasze nikt by się nie połakomił. Chcesz, żebyśmy naprawdę ukradli samochód?

Jupiter popatrzył na Kelly.

- Myślałem, że Kelly mogłaby pożyczyć jaguara swego taty...

- Taty jaguar? - Kelly przełknęła ślinę. - No dobra. Jeśli w ten sposób wydobędziemy Pete'a... Tylko bądźcie ostrożni.

- Będziemy - zapewnił ją Jupiter. - Czy możesz go wziąć teraz?

- Sądzę, że tak.

- Pojadę z nią - wtrącił się Bob. - Po drodze pokażę jej, jak się prowadzi mój wóz.

- Szczegóły omówimy po waszym powrocie - zakończył Jupiter.

- Tiburon potrzebowałby trochę czasu, by ukraść samochód - zauważył jeszcze Tay.

Jupiter kiwnął głową.

- Zaczekamy do północy. - Popatrzył po zebranych. - To na razie byłoby wszystko. O północy zaczynamy.

Pięć minut przed północą do bodegi podjechał elegancki jaguar. Sklep był jeszcze otwarty.

W bagażniku schowany był Jupiter. Tay, jako szczuplejszy z nich dwóch, leżał na podłodze między przednim a tylnym siedzeniem, przykryty kocem i paroma poduszkami.

Bob miał na sobie czapkę od kostiumu do baseballa i stare okulary. Kelly przyjechała volkswagenem Boba i zatrzymała się w miejscu niewidocznym z bodegi.

Ze sklepiku wyszedł Joe Torres, a za nim jego dwaj ludzie, Nacio i Carlos. Milcząc wpatrywali się w lśniącego jaguara. Z okna wozu wychylił się Bob.

- Facet imieniem Tiburon zapłacił mi sto dolarów za przyprowadzenie jego wozu z Malibu. Pan jest jego bratem?

Torres kiwnął głową.

- To ja. Dostarczyłeś wóz, jesteś wolny.

- Nie podwiózłby mnie ktoś do centrum?

- Weź taksówkę - odparł Torres. - Zapłacili ci, to spadaj.

Bob wyszedł z jaguara i zniknął w ciemnościach. W bagażniku i z tyłu pod kocem czekali Jupiter i Tay. Po chwili usłyszeli, że do wozu podchodzi trzech ludzi. Jeden z nich zawołał:

- Ej, tam z tyłu jest koc i poduszki!

Odpowiedział mu głos Torresa:

- Jakiś frajer z Malibu nie tylko stracił wóz, ale jeszcze do tego marznie!

Drzwiczki kierowcy otworzyły się.

- Wezmę go od razu - odezwał się głos Torresa. - Ludzie przychodzą do sklepu, a to cacko zwraca uwagę. Dobrze, że chociaż tym razem dostarczyli go Tiburonowi na czas, a nie o dwa dni za późno, jak tamtego mercedesa.

Drzwi zatrzęsnęły się i wóz ruszył z piskiem opon. jechał szybko, uwożąc ukrytych Jupitera i Taya.

Bob błyskawicznie wskoczył do garbusa.

-Wszystko w porządku? - spytała z obawą Kelly.

- Torres dał się nabrać. Wszystko idzie tak, jak przewidział Jupiter. Torres wcale nie był zdziwiony. Zdaje się, że wypowiedziałem właściwe słowa.

Kelly wskazała przed siebie.

- Tam! Jedzie! Taty jaguar!

- Spokojnie - mitygował ją Bob.

Skręcił w pierwszą przecnicę i wyjrzał. Kierowca lśniącego wozu nie zdradzał żadnych oznak, że czuje za sobą ogon.

- Nie zgub go. Bob - błagała Kelly.

- Robię, co mogę - odparł Bob. Wcisnął gaz do dechy i ruszył w pogoń za srebrzystym wozem.

Niestety, mimo desperackich wysiłków Boba, by utrzymać stałą odległość między samochodami, jaguar oddalał się coraz bardziej.

W bagażniku Jupiter leżał ściśnięty jak baleron, by uniknąć obijania się o ściany podczas przyspieszania i hamowania. Wóz zatrzymał się jednak tak raptownie, że Jupitera rzuciło do przodu i niewiele brakowało, by całym ciężarem wyrzucił w ścianę bagażnika. Jakimś cudem udało mu się uniknąć hałasu. Usłyszał, że Torres daje sygnał klaksonem: jeden długi, dwa krótkie, długi i krótki.

Potem słyhać było, jak ktoś otwiera kłódkę, a później rozwarły się wielkie wrota. Jaguar wjechał do środka.

- Jeden z małych dodatków nadzwyczajnych Tiburona - rozległ się głos Torresa.

- Sześć wnerwi. Dostaliśmy kłopotów przez tego mercedesa.

Był to głos Maxa rewolwerowca.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i do wozu ktoś wszedł. Znow ruszyli. Jupiter czuł w ciemnościach, że samochód powoli manewruje. Potem, jakby po krótkim wahaniu, wóz lekko o coś stuknął i zatrzymał się.

Rozległo się klekotanie i zgrzyt. To zamykały się drewniane drzwi windy.

Dźwig ruszył do góry.

Jupiter próbował ocenić, jak wysoko wjechali, ale mu się nie udało.

Winda stanęła. Rozległo się coś, jakby słaby turkot.

Jaguar ruszył powoli, ale w niewłaściwym kierunku!

- Straciliśmy ich z oczu, Bob! - jęknęła Kelly.

- Skręcili na tym skrzyżowaniu - odparł ponuro Bob. - Może uda nam się z powrotem złapać z nimi kontakt.

Znajdowali się w dzielnicy handlowej. Bob skręcił w najbliższą przecznicę i pojechał nią dalej prosto.

Po paru chwilach w bocznej ulicy, którą mijali, dostrzegli jaguara. Stał o jedno skrzyżowanie dalej, przed dużym, dwupiętrowym budynkiem.

- Myślisz, że nas zauważył? - spytała Kelly.

- Jesteśmy dla niego tylko jednym z samochodów - odparł Bob. - Torres nigdy nie widział mojego garbusa.

Bob zawrócił, podjechał do skrzyżowania i o parę metrów przed nim zaparkował wóz. Wysiedli z volkswagena, podbiegli do skrzyżowania i wyjrżeli zza rogu. Jaguara nie było.

Ciemną, pustą ulicą podeszli do dużych dwuskrzydłowych wrót, za którymi zniknął samochód. W jednym skrzydle były mniejsze drzwi.

I duże, i małe wejście było zamknięte.

- Co teraz zrobimy? - szepnęła zrozpaczona Kelly.

- Mam nadzieję, że nikt nie przekręcił zasuwki, którą Jupiter zostawił otwartą - odparł Bob.

Sięgnął do kieszeni bluzy i wydobyl z niej plastikową kartę. Wsunął ją w szparę między drzwiami a framugą, w pobliżu zamka. Po chwili udało mu się odsunąć zatrzask. Parę sekund później stali już oboje w przyćmionym świetle parkingu Freeway Garage i przyglądali się zaparkowanym samochodom.

- To pewnie tu Jupe zajechał swoją hondą, by zbadać ten warsztat - powiedział Bob. - Rozejrzyj się za jaguarem swego taty.

Krażyli teraz po ogromnym, cichym, źle oświetlonym pomieszczeniu, lawirując między rzędami aut. Wreszcie zatrzymali się przed otoczonym siatką szybem windy samochodowej. Kabina stała gdzieś wyżej. Nasłuchiwali, czy nie dobiegnie ich jakiś dźwięk, ale panowała cisza. I nigdzie nie widzieli jaguara.

- Nie ma go tu! - Kelly ze zdenerwowania podniosła głos.

- Tsss! - syknął Bob.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwiami, klekotanie desek... i dźwig zaczął zjeżdżać w dół.

- Szybko! - Bob chwycił Kelly i pociągnął ją za sobą. Przykucnęli za najbliższym rzędem wozów. Kiedy winda dotarła do parteru, byli już dobrze schowani. Z windy wyszedł Joe Torres. Był sam. Przeszedł przez wielką salę i skierował się do drzwi.

Bob i Kelly wyszli z ukrycia i z powrotem zbliżyli się do szybu.

- Wóz mego taty musi tu gdzieś być - szepnęła, patrząc w górę szybu.

- Jupiter mówił, że jest pewien, iż “dziupła” znajduje się gdzieś w tym budynku  
- zgodził się Bob. - Tylko gdzie?

Nagle za ich plecami rozległ się głos:

- Fatalnie, że wiesz o “dziupli”, Andrews. Trzeba było zostać przy muzyce!

Za nimi stał Jake Hatch. W tłustej łapie trzymał pistolet. Krępy gość, stojący z drugiej strony, miał jeszcze większą spluwę.

## ROZDZIAŁ 15

### W PUŁAPCE

Jupiter tkwił w bagażniku jaguara i nasłuchiwał. Przez dłuższy czas nie słyszał niczego.

Wyglądało na to, że jaguar wyjechał wprost przez tylną ścianę windy. Potem, manewrując w zamkniętym pomieszczeniu, skręcił w prawo i stanął. Torres i drugi pasażer gdzieś poszli. Później rozległ się jeszcze słaby turkot i po chwili wszystko umilkło.

A teraz nagle znów słysząc szcęk i łomot. Jupiter zastukał w ścianę bagażnika.

- Tay?

Zza ściany dobiegł go słaby głos kuzyna.

- Żyjesz?

- W porządku. Gdzie jesteśmy?

- Sekundę, rozejrzę się.

Jupiter cierpliwie czekał w swoim zamknięciu.

- Jesteśmy w sali, która wygląda jak jeszcze jedno piętro warsztatu - usłyszał wreszcie głos Taya. - Nie jest aż taka duża jak tamte sale. Nasz wóz stoi w rogu, z dala od ludzi, ale po drugiej stronie jacyś faceci pracują przy maserati. Jeden z nich jest podobny do Pete'a.

- Wypuść mnie stąd! - poprosił Jupiter.

Usłyszał odgłos kroków Taya, a potem dźwięk klucza wsuwanego do zamka bagażnika. Pokrywa odskoczyła. Jupiter wytoczył się szybko i zaraz przykucnął za wozem. Obok niego przycupnął Tay.

Po drugiej stronie źle oświetlonego pokoju trzech mężczyzn pracowało przy czymś, co jeszcze niedawno było ciemnoczerwonym maserati. Najwyraźniej rozbierali wóz na części. Samochód był już prawie rozłożony, poszczególne elementy wały się w promieniu kilku metrów. Podwozie z gołym blokiem silnika wyglądało jak szkielet.

Jednym z pracujących był Pete.

- Szybko wzięli go do tej roboty - zauważył szeptem Tay.

- Tiburon powiedział im, że Pete jest w porządku, a widocznie pilnie potrzebowali rąk do pracy - odparł Jupiter. - Patrz! Ciągłe ma na sobie ten pleciony krawat. W spince jest radiotelefon. Możemy się z nim skontaktować. Jest dość daleko



od innych.

Pozostali dwaj mechanicy pracowali w pewnej odległości od Pete'a. Cicho rozmawiali ze sobą, nie zwracając uwagi na nowego robotnika. Obaj byli niskiego wzrostu, drobni, twarze mieli prostackie i byli najwyraźniej w złym humorze. Jupiter i Tay zauważyli, że z kieszeni jednego z nich wystaje kolba pistoletu.

- Rzeczywiście, nie patrzą na Pete'a - stwierdził Tay.

Byli w błędzie. Jupiter wezwał Pete'a sygnałem przez radiotelefon. Cichy pisk powinien zaalarmować Pete'a, że przyjaciele są blisko. Pete nie zdradził się żadną reakcją. Pracował dalej. Ale jeden z pozostałych mechaników spojrzał w jego stronę.

- Co to było?

Pete podniósł głowę.

- Budzik przy moim zegarku elektronicznym. Teraz w telewizji jest nocny program, który lubię oglądać. Zapomniałem wyłączyć.

- A właściwie która teraz godzina, mały?

- Prawie wpół do pierwszej - odparł Pete.

- Hej, musimy się pospieszyć. Mamy jeszcze tego jaguara, a Tiburon ze swoją bandą może pojawić się w każdej chwili.

- Psiakość - zaklął Pete. - Czy to trochę nie za późno na przywożenie samochodów?

Pozostali roześmiali się.

- Widzisz, szef musi kupować te wybrakowane wozy, jak mu się trafia okazja, nie?

Mechanicy roześmiali się głośniej. Dla Jupitera i Taya było jasne, że Pete'owi nie powiedziano prawdy o jego robocie.

- No cóż - rzucił Pete w stronę mechaników. - Z tym prawie skończyliśmy. Może pójdę i przyprowadzę tego jaguara?

- Jasne, mały. Zasuważ.

Pete odłożył narzędzia i wytarł ręce w ścierkę. Potem podszedł do stojącego w ciemnym kącie jaguara. Obejrzał się za siebie jeszcze raz, by mieć pewność, że faceci są zajęci pracą.

- Kto tu jest? - zapytał, pochylając się nad jaguarem, jak gdyby chciał coś sprawdzić. - Gdzie Kelly?

Rozpoznał jaguara, usłyszał sygnał dźwiękowy i złożył to sobie w całość.

- To ja - odparł Jupiter. - Jest ze mną Tay. Kelly jest z Bobem. Chyba czekają

na zewnątrz. Mieli jechać za nami. Co się tu dzieje?

- Tu faktycznie rozbiera się samochody na części - wyjaśnił Pete. - Poczęstowali mnie lipną historyjką o wozach z nieusuwalnym uszkodzeniem. Dzięki temu warsztat kupuje je bardzo tanio i zarabia na tym, bo części są więcej warte niż cały wóz. Ale Tiburon dość jasno dał mi do zrozumienia, co tu się odbywa.

- Czy obaj faceci są uzbrojeni?

- Zdaje się, że tylko jeden z nich.

- Jak to się stało, że oprócz ciebie pracuje tutaj tylko dwóch ludzi? - spytał Tay.

Pete udał, że coś majstruje przy drzwiach.

- Tiburon powiedział mi, że brak im rąk do pracy, bo zachorowało dwóch mechaników. Śmiał się przy tym, więc sądzę, że faktycznie siedzą w ciupie. Wygląda na to, że reszta gangu, prawdziwi złodzieje samochodów, jest gdzieś daleko, przy robocie. Mamy szczęście, chłopcy.

- To weźmy się za tych, co tu są, i wezwijmy policję, zanim pojawią się następni - postanowił Jupiter.

Pete kiwnął głową i usiadł za kierownicą. Z tyłu, za oparciem schowali się Jupiter i Tay. Pete włączył silnik i ruszył w żółwym tempie w stronę mechaników pracujących przy maserati.

Nagle rozległo się dudnienie. Lewa ściana długiego pomieszczenia otwarła się, jakby cegły rozsunęły się na boki!

- To drzwi! - cicho zawołał Jupiter. - W tylnej ścianie szybu! To w ten sposób znikają wozy przeznaczone do rozbiórki!

Chłopcy spostrzegli teraz, że długi odcinek ściany zrobiony był z niby-cegieł, naklejonych na rozsuwanych drzwiach. Drzwi najpierw wsuwały się trochę w głąb sali na stalowych prowadnicach, a potem rozchodziły na boki.

- Jesteśmy teraz w budynku na sąsiedniej ulicy - zauważył Tay. - To zresztą jest tylko jego połowa. To ukryty pokój, zamaskowany z obu stron! Wozy wjeżdżają tutaj jako piękne cztery kółka, a wyjeżdżają w częściach.

- Chłopaki! - zawołał Pete, patrząc na drzwi windy.

Przez otwartą ścianę wychodzili Jake Hatch i Max rewolwerowiec, trzymając na muszce Boba i Kelly.

- Dostali Kelly! - jęknął Pete. - Musimy ich ratować, panowie!

- Trzeba rąbnąć ich teraz, nim pojawi się ktokolwiek z reszty bandy albo Tiburon i Piranie - radził Tay.

- Ale oni mają broń - powiedział przerażony Jupiter.

Pete zatrzymał jaguara, nie wiedząc, co robić. Jake Hatch i Max popychali Kelly i Boba w stronę mechaników. Wyraz twarzy Hatcha nie wróżył niczego dobrego.

- Złapałem ich na dole w tamtym budynku. Szukali “dziupli”, w której rozbieramy samochody! - warknął. - Musieli coś wywąchać. Niestety nie zdążą już z nikim podzielić się swoim odkryciem...

- Nasi koledzy wiedzą, gdzie jesteśmy - odezwał się Bob. - Tay sprowadzi gliny.

- To ten facet, którego Tiburon wynajął w Oxnard do tego mercedesa - wyjaśnił Max. - Ten, co sprowadził gliny na kark Torresowi.

- Mówiłem tym idiotom z orkiestry, żeby nie brali się za ściąganie samochodów! - ryknął Hatch.

- Tiburonowi zdarzyło się to tylko trzy razy, szefie - bronił muzyka Max.

- O trzy razy za dużo. - Jake Hatch pokręcił głową. - A teraz musimy pozbyć się tej dwójki. - Rozejrzał się dokoła. - A gdzie ten nowy?

- Tam, prowadzi jaguara - wskazał mechanik.

Pete odezwał się ściszym głosem:

- Schowajcie się, bo was zobaczą. Trzymać się!

Powoli ruszył do przodu.

Hatch spojrzał na samochód.

- Jaguara?

- No tak - potwierdził mechanik. - Pół godziny temu przywiózł go Torres. To “prezent” od Tiburona.

- Ten głupol! - krzyknął Hatch i znów zaczął kręcić głową. - No cóż, wygląda nieźle. - Odwrócił się do Boba i Kelly. - Przykro mi, Andrews. Trzeba było nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Pete przybliżał się. Hatch, Max i dwaj mechanicy stali skupieni przy maserati, twarzą do Boba i Kelly. Przez chwilę byli zwrócenii do jaguara plecami. Pete wychylił się z okna.

- Gdzie postawić jaguara, Max? - zapytał.

Jupiter zauważył w oczach Boba i Kelly lekki błysk na dźwięk głosu przyjaciela. Obaj z Tayem czekali w napięciu, a Pete przesunął nogę na pedał gazu.

- Co ten mały tu robi? - w szerokich drzwiach windy stał Joe Torres i wskazywał palcem Boba. - To przecież ten sam chłopak, który przyprowadził tego jag...

- Teraz, Pete! - krzyknął Jupiter.

Pete wcisnął gaz do dechy. Wóz z rykiem i piskiem opon wyrwał do przodu, prosto na czterech mężczyzn zgromadzonych przy szczątkach maserati.

## ROZDZIAŁ 16

### REKIN ŚPIEWA

Wielka bryła metalu pędziła wprost na czterech facetów. Stali jak wryci. Hatch i Max znieruchomieli z bronią w rękę. Z przerażeniem w oczach patrzyli na wóz, który za chwilę miał ich zmiażdżyć.

Potem nagle grupa rozleciała się. Cała czwórka dała nura na boki. Rozpaczliwie próbowali się odczołgać.

Max rewolwerowiec wylądował na ręce, w której trzymał pistolet. Zgubił swą spluwę i zaklął z bólu.

Dwaj mechanicy zwalili się jeden na drugiego. Z kieszeni tego, który był uzbrojony, wypadł rewolwer i potoczył się między części rozebranego maserati.

Tylko Jake Hatch nie stracił głowy. Przetoczył się po podłodze, a potem klęcząc wymierzył wprost w nacierający wóz, w siedzącego za kierownicą Pete'a.

Bob zepchnął Kelly z trasy jaguara i śmiałym kopnięciem z boku, *yoko-geri-keage*, wytrącił broń z ręki właściciela agencji. Pistolet wypadł na podłogę i przejechał po niej parę metrów. Hatch rzucił się na Boba. Szybka kontra łokciem w głowę obaliła napastnika na ziemię.

Jaguar zatrzymał się z piskiem opon o parę centymetrów od rozebranego maserati.

Pete długim skokiem wprost z auta rzucił się na Hacha, który właśnie próbował się podnieść.

Tay też wyskoczył z wozu. Biegł w stronę Torresa, który stał z boku pod ścianą i próbował wyciągnąć z kieszeni pistolet. Tay chwycił właściciela bodegi i po chwili już toczyli się po ziemi w płątaninie rąk i nóg.

Jupiter podbiegł do Boba walczącego z Maxem. Potężny zbir zdążył się już podnieść i próbował sięgnąć po pistolet. Bob chciał zaatakować go kopnięciem z boku, *tobi-yoko-geri*, ale Max utrzymał go na dystans, blokując kopnięcie ramieniem. Właśnie schylił się po swoją broń.

Jupe z całej siły uderzył zgiętego bandytę, tak że tamten znów znalazł się na ziemi. Klnąc, podniósł się i natarł na chłopca. Tym razem Jupe powalił go rzutem przez biodro, skoczył na niego, próbując przycisnąć go do ziemi. Bob położył się na Jupiterze. Wściekły rewolwerowiec miotał przekleństwa, ale przywalony podwójnym

ciężarem nie mógł się podnieść.

Jeszcze tylko dwaj mechanicy byli wolni. Kiedy jednak zaczęli podnosić się z ziemi, zamarli w bezruchu. Z góry, uzbrojona w pistolet Jake'a Hacha, patrzyła na nich groźnie Kelly Madigan. Wielką spluwę trzymała oburącz i celowała na zmianę to w jednego, to w drugiego.

- Spokojnie, panienko...

- My się nie ruszymy, niech pani tylko nie robi nagłych ruchów...

Dwaj faceci wyciągali ręce w stronę Kelly, jakby obawiali się, że może jej zadrzeć palec na języczku spustu. Było jasne, że nie będą próbowali wstać.

- Słusznie, panowie - powiedziała Kelly, lekko wymachując pistoletem. - Nie ruszajcie się tylko z miejsca!

Pete trafił jeszcze Hacha w splot słoneczny, ciosem dłoni *nuki-te*. To uderzenie pozbawiło szefa gangu reszty tchu. Leżał na zaśmieconej podłodze, jęcząc i trzymając się za żołądek.

Tay na zimno znokautował Torresa, zabrał mu pistolet i włożył sobie za pas. Podeszedł do Kelly i wyjął jej broń z ręki.

Bob i Jupiter znaleźli długi drut i związali Maxowi ręce w przegubach i nogi w kostkach. Leżał klnąc i usiłując się wyzwolić, ale nie miał szans.

Bob wstał z uśmiechem.

- No, to zdaje się, że sprawa gangu samochodowego jest załatwiona.

- Mamy ich! - krzyknął Pete.

- I dowody - dodał Jupiter, wskazując na rozebranego maserati.

- Lepiej ich zwiążcie i zbierzcie broń - doradził Tay. - Ja ich będę trzymał na muszce.

Pete i Jupiter znaleźli kawał liny i związali nim najpierw dwóch mechaników, a potem Torresa. Bob wyciągnął pistolet mechanika spomiędzy części samochodowych i podniósł z ziemi spluwę Maxa. Pete i Jupiter zabrali się do wiązania Jake'a Hacha. Facet wciąż jeszcze jęczał i trzymał się za rozbite żebra, jakby już nie miał przyjść do siebie.

Zanim jednak zdążyli zająć się na dobre właścicielem agencji, usłyszeli tupot nóg. Z wnęki, znajdującej się z tyłu, za resztkami maserati, do sali wpadła grupa mężczyzn.

- Hej, mamy sześć pięknych wozów. Czekają na dole przed windą! - zawołał od wejścia El Tiburon. Tych drzwi chłopcy w ogóle nie zauważyli. "Rekin" zatrzymał się i

spojrzał zdumiony.

- Ej, *chihuahua*! Patrzcie!

Za szefem zespołu stały cztery Piranie, a za nimi jeszcze paru ich kumpli. El Tiburon wciąż miał na sobie biały garnitur, którym występował na scenie.

Jupiter stanął przed muzykiem.

- Skończone, Tiburon. Mamy twego szefa, jego ochroniarza, Torresa i kradziony wóz. Lepiej wszyscy się poddajcie.

- Co? - Tiburon jeszcze nie rozumiał. Rozejrzał się po sali. Popatrzył na pistolety w rękach Taya i Boba. Potem na Piranie i resztę stojących za nim ludzi. Wreszcie odezwał się do Jupe'a:

- Hej, chłopie, to nie takie pewne, wiesz? Widzisz, ilu nas jest?

Nieoczekiwanie doszedł do siebie Jake Hatch. Usiadł na podłodze i krzyknął:

- Zajmij się tymi chłopakami, Tiburon! Skacz na nich!

Tiburon wzruszył ramionami.

- No, nie wiem, szefie. Oni są uzbrojeni, widzi pan? A od was nie będziemy mieli wielkiej pomocy.

- To tylko głupie dzieciaki! Nawet nie wiedzą, jak się strzela. Załatwisz ich raz dwa!

- Może - odparł uśmiechając się solista. - Ale, wie pan, pomyślałem sobie, że dla nas chyba już czas na jakąś podwyżkę.

- Ja wam i tak płacę za dużo! - wściekł się Hatch. - Bierzcie się za te bachory! To ty nas w to wpakowałeś przez ten twój głupi wóz, ty... idioto!

Tiburon patrzył na Hacha. Za nim stały rozzłoszczone Piranie. Tiburon słyszał gniew w ich głosach.

Jupiter natychmiast zauważył tę zmianę nastrojów. Szybko zwrócił się do szefa muzyków:

- On cię wykorzystuje, Tiburon. Wszystkich was. Nie ma dla was żadnego szacunku. Traktuje was jak użytecznych głupoli.

Zdawało się, że Tiburon nie słyszy słów Jupitera. Jego uwagę pochłaniał całkowicie Jake Hatch.

- Ej, szefie, chcesz pomocy od bandy idiotów, co? Wszyscy są dla ciebie gównowarci, nie?

Siedzący wciąż na podłodze Hatch zrobił się purpurowy.

- Wyciągnij nas stąd albo koniec z tobą, słyszysz? Weź się zaraz za te dzieciaki,

ty bezmózgi Metysie! Bo jak nie, to już nigdy nie dostaniesz u mnie roboty, słyszysz?

Tiburon pokręcił głową.

- Ech, co może działać garstka głupców? Głupich mieszańców... Same brudasy i głupty, nie? - Uśmiechnął się krzywo do Hacha, potem popatrzył na Jupitera.

- Ej, gruby *Anglo*, dajmy na to, że wszystko wam opowiemy o tym sprytnym szefuniu i jego wielkich operacjach. Załatwicie, żeby gliny potraktowały łaskawie Tiburona i jego Piranie, dobra?

- Zdajesz sobie sprawę, Tiburone, że nie możemy dyktować glinom, co mają robić - wtrącił się Tay, trzymając wciąż wymierzony w nich pistolet Jake'a Hacha.

- Ale zrobimy wszystko, co możliwe - dodał szybko Jupiter. - Wiemy, że wy najczęściej tylko przewoziliście samochody. Kradli je dla Hacha inni ludzie, zawodowcy. Rozmontowywali je mechanicy, a nie wy, chłopcy.

Tiburon kiwnął głową.

- Sprytny jesteś, jak na takiego młodziaka. Tak. Dawali nam pomalowane wozy, żeby wyglądały, jak nasze własne, a my jechaliśmy nimi na występ, a potem tutaj. A czasem zawozili nas na występ, a my tylko wracaliśmy tymi samochodami.

- A ten czerwony mercedes? - spytał ponuro Tay. - Ten, który zwinąłeś w Oxnard.

Tiburon wzruszył ramionami.

- No dobra, czasem zdarzało mi się świsnąć samemu parę wozów, jeżeli nic akurat dla nas nie mieli. To było głupie. Zresztą już tego nie robię.

Jupiter zwrócił się poważnie do muzyka:

- Jeżeli zostaniesz koronnym świadkiem i będziesz zeznawał w sądzie przeciw Hatchowi i jego bandzie, sędzia na pewno cię nie skrzywdzi.

- Nie słuchaj ich! - krzyknął Jake Hatch, wyrывая się Pete'owi i rzucając w stronę Tiburona. - Dam wam podwyżkę. Wszystkim. Będziecie najbardziej dzianymi facetami w miasteczku!

Tiburon popatrzył na Hacha, Jupitera i Taya, a potem na stojących za nim członków zespołu. Wzruszył ramionami.

- Dobra, sprytny *Anglo*. Chodźmy pogadać z glinami.

Tay opuścił pistolet. Pete uśmiechnął się. Bob i Jupiter odetchnęli z ulgą. Kelly podbiegła do Pete'a i zarzuciła mu ręce na szyję. Pete zrobił się czerwony jak burak. Kelly roześmiała się, pocałowała Pete'a i cofnęła się o krok.

Nagle Jake Hatch skoczył i porwał Kelly w górę. Trzymał dziewczynę przed sobą



jak tarczę, wykręcił jej ręce i zaczął cofać się w stronę windy. Gdyby ktoś spróbował do niego strzelić, zraniłby Kelly.

- Wszyscy mają zostać na miejscu! Jeśli ktoś się do mnie zbliży, zapłaci za to dziewczyna! Jasne?

Nikt się nie poruszył, a Hatch ze swoją zakładniczką spokojnie wszedł do kabiny. Za nim i przerażoną Kelly powoli zasunęła się ściana.

## ROZDZIAŁ 17

### NAJLEPSZE CZTERY KÓŁKA

W warsztacie zapanowała złowroga cisza. Pete podszedł do zamykanej ściany.

- Jak to się otwiera? Szybko!

Patrzył na Tiburona. Tamten wzruszył ramionami.

- Nie wiem, człowieku. Zawsze ktoś to robił za nas.

Joe Torres roześmiał się.

- Zgadnij, cwaniaku.

- Szef jest dla was za dobry, wy punki - warknął z ziemi Max rewolwerowiec.

Mechanicy pokręcili głowami. Nie wiedzieli, jak otwiera się windę. Jupiter zwrócił się do Tiburona:

- Jak się tu dostaliście?

- Przez biuro z tamtej strony - odparł muzyk. - Tą samą drogą, którą zawsze wychodzimy.

- Biuro? Gdzie? - pytał Pete. - Pokaż mi. Szybko!

- Jasne, szefie, tylko że schody wychodzą nie na tę ulicę, co trzeba, wiesz?

Musicie obejść budynek dookoła, żeby dostać się na parking.

- Pokaż mi drogę! - rozkazał Pete.

- Pójdę z tobą - zdecydował Tay. Jeden pistolet wsunął za pas. Drugi wręczył Bobowi. - Faceci są dobrze związani, ale miej na nich oko.

Tiburon pociągnął Pete'a i Taya w kąt sali przy ścianie naprzeciw windy. Dopiero stąd widać było ukryte za załomem muru drzwi do biura.

- Powinniście znać ten trik - powiedział Tiburon i poruszył wiszącą na ścianie gaśnicą. Drzwi biura otworzyły się.

Pete i Tay popędzili przez mały gabinet i klatkę schodową. Wypadli na dwór. Była ciemna noc. Świecił księżyc, oblewając wszystko upiornym blaskiem. Mijając zaparkowanego przed warsztatem forda fiero, obiegli budynek.

Brama wjazdowa była zamknięta od środka!

- Muszą tam jeszcze być! - krzyknął Pete.

- Chyba że jest jakieś wyjście, o którym nie wiemy - ostrzegł Tay. - Bądź ostrożny, Pete. On ma Kelly.

Pete kiwnął głową. Sprawdził małe drzwi. Były otwarte. Przeszli przez nie i

znaleźli się na parterze parkingu. Paliło się tylko nieduże, nocne światełko, w tylnej części sali, w pobliżu windy.

Chwilę nasłuchiwali w ciemnościach.

Cisza.

- Zniknął! - jęknął zrozpaczony Pete. - A Kelly z nim.

Tay słuchał dalej.

- Nie byłbym taki pewien. Słyszysz to?

Teraz i Pete usłyszał ciche stukanie. Jakby coś lekkiego uderzało w metal, wybijając rytm. Stukanie dochodziło z tylnej części sali, na prawo od windy.

- To stukanie paznokciem w karoserię! - szepnął Pete. - To Kelly. Chodźmy!

Przemknęli między samochodami, najpierw Pete, za nim Tay. Wynurzyli się koło windy, w przesmyku wolnym od wozów, służącym jako droga wyjazdowa. Zatrzymali się tam i nasłuchiwali.

Nagle po ich prawej stronie zapaliły się światła samochodu.

Reflektory rzucały światło wzdłuż przesmyku, prosto na Pete'a i Taya!

Usłyszeli warkot silnika. Zapiszczały opony. Wóz ruszył wprost na chłopców. Z każdą chwilą nabierał szybkości.

Uskoczyli do tyłu. Wóz przeleciał koło nich jak srebrzysty pocisk. Zahamował ze zgrzytem, uderzając w zaparkowane samochody.

- To rolls-royce! - zawołał Pete.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Rolls cofnął się, zawrócił, zmiatając jeszcze parę wozów i znów ruszył w kierunku chłopców.

- Chce nas zmiażdżyć między samochodami! - krzyknął Tay. - Skacz!

Wygramolili się na następne auto. Tymczasem rolls-royce uderzył z rozpędu w samochód, za którym przedtem byli schowani, wbił go w następny wóz, a tamten zderzył się z jeszcze jednym.

Pobiegli.

Lecz gdziekolwiek uciekali, gonił za nimi olbrzymi krążownik szos. Rozbijał samochody, popychał je na siebie, zrywał błotniki i zderzaki...

Tay wyciągnął zza pasa pistolet Hacha i próbował wymierzyć w nacierające auto.

- Nie strzelaj! - krzyknął Pete. - Tam jest Kelly!

- Spróbuję go trafić w oponę - odwrzasnął Tay i znów ledwie zdążył zejść z drogi rozpędzonego wozu.

Rolls też już wyglądał coraz gorzej, ale potężna, ręcznie robiona maszyna wciąż działała bez zarzutu. Jego uszkodzenia były niczym w porównaniu ze stanem wozów, w które uderzał.

W pewnej chwili Tay miał oponę na muszce. Strzelił dwukrotnie...

- Chybiłem - jęknął zrozpaczony.

Rolls zrobił unik, uderzając i odpychając na bok cztery inne samochody.

Tym razem nie próbował już natrzeć na chłopców. Zamiast tego, skierował się na jedną z dróg wyjazdowych.

- On chce uciec! - ostrzegł Pete.

- To przez tę spluwę - odparł Tay. - Woli nie ryzykować.

Rolls-royce pędził poprzeczną drogą, prowadzącą w stronę głównego wyjazdu. Tay i Pete pobiegli między zmiżdżonymi samochodami, by odciąć mu odwrót.

- Musi wysiąść, by otworzyć bramę - zawołał Pete. - Mamy go!

Byli już prawie przy wejściu, gdy wóz z piskiem opon gwałtownie skręcił w lewo i pełnym gazem ruszył w stronę bramy.

- Nie zatrzyma się! - krzyknął Tay.

Chociaż rolls-royce jechał najszybciej, jak mógł, wyglądało to jak na zwolnionym filmie, gdy ogromny wóz całą siłą wbijał się prosto w ciężkie drewniane wrota.

- Szybko, do mojego auta! - krzyknął Pete.

- Nie ma czasu - odparł Tay, ciężko dysząc. - Zwieje nam.

Pete nie odpowiedział, tylko przebiegł przez rozwalone drzwi. Srebrzysty rolls jechał za szybko i nie zdążył w porę skręcić na ulicę. Wpadł poślizgiem na płot po drugiej stronie, a potem musiał zawrócić, by znów znaleźć się na jezdni. Tymczasem Pete pobiegł ulicą dokoła budynku, do swego samochodu.

- Nie dogonimy go, ma za dużą przewagę - zawołał Tay, gdy wskakiwali do wozu Pete'a.

Lecz kiedy objechali budynek parkingu i znaleźli się przy bramie, rolls-royce wciąż jeszcze tam był. Ruszał, cofał się i zmieniał kierunek jak kulejący ranny ptak.

- Ma defekt! - ucieszył się Tay. - Zaraz...

- Nie, patrz! - krzyknął Pete.

Przez szybę rolls-royce'a widać było walczące sylwetki.

- Kelly go zaatakowała. Próbuje go zatrzymać!

Nim Pete skończył, w rollsie drzwi od strony pasażera otwarły się z trzaskiem i

na ulicę wypadła Kelly.

Rolls-royce gwałtownie ruszył i zaczął uciekać.

Kelly zerwała się i skoczyła, przecinając drogę fordą fiero. Pete ostro zahamował. Wychylił się i krzyknął:

- Złapiemy go, Kelly!

Dziewczyna szarpnęła drzwiczki od strony pasażera i nad głową Taya precisnęła się na tylne siedzenie.

- Złapiecie, ale nie beze mnie - rzuciła ostatkiem tchu i uśmiechnęła się.

Pete odpowiedział jej uśmiechem.

- No to się trzymaj. To będzie wystrzałowa jazda!

Już trzy przecznice dalej zrównał się z rollsem. Pete jechał jak szalony. Nawet Tay bladł ze strachu, gdy z wielką prędkością wpadali w ciasne uliczki i skręcali gwałtownie tuż za ściganym srebrzystym wozem.

Tak pędzili razem, jeden za drugim, przez ciemne ulice miasteczka.

Rolls przemknął przez pusty plac, lawirował między słupami podtrzymującymi estakadę, jakiś czas jechał nawet po torach kolejowych.

To wszystko nie odstraszało Pete'a.

Uciekinier pędził jednokierunkowymi uliczkami pod prąd, potem próbował zgubić ścigających na długim prostym bulwarze.

Przed desperacką pogonią Pete'a nie było ucieczki!

W końcu Hatch usiłował jeszcze raz rozpaczliwym manewrem wydostać się na drogę wylotową. By na nią wjechać, trzeba było wykonać ostry skręt w lewo pod wiaduktem. Przez chwilę wydawało się, że tym razem szef gangu zdołał umknąć.

Gdy trochę zwolnił, szykując się do ostatniego ostrego skrętu, Pete zajechał mu drogę od przodu. Hatch gwałtownie objechał fordą fiero, zahamował na krawędzi wjazdu i wpadł w poślizg, aż go rzuciło bokiem na jeden z ogromnych betonowych słupów, podtrzymujących wiadukt.

Wielka srebrna maszyna stała bez ruchu. Jeszcze lekko się trzęsła i unosił się nad nią obłok pary.

Tay w jednej chwili wyskoczył z wozu. Szarpnął drzwiczki rolls-royce'a i ze środka wywłókł Jake'a Hacha. Wrzucił półprzytomnego gangstera na tylne siedzenie fordą fiero i usiadł na nim.

- Teraz Hatch już chyba wie, kto ma najlepsze cztery kółka! - powiedział dysząc.

Kelly z podziwem patrzyła na Pete'a. Chłopak uśmiechnął się do Taya i poprowadził samochód z powrotem w stronę parkingu.

Gdy tam dotarli, wszyscy stali przed wejściem. Po prawej stronie czekał Tiburon i Piranie. Więźniów pilnował Bob. Do ich grupy Pete dołączył Jake'a Hacha, który nie zdołał jeszcze dojść do siebie.

- Czy ktoś wezwał policję? - spytał Tay.

Bob kiwnął głową.

- Jupiter mówił, że to zrobi.

Pete rozejrzał się wokół.

- Ej, a gdzie on jest?

Z głębi parkingu dobiegł rozpaczliwy jęk. Między szczątkami zmiądzonych samochodów stał Jupiter. Patrzył przygnębiony na resztki jakiegoś wozu, którego nie sposób było rozpoznać. Wreszcie Bob domyślił się.

- To twoja nowa honda?

Śliczna niebiesko-biała maolitrażówka była pełnym wrakiem! Widocznie Hatch walił w nią raz po raz.

- Nie mam już czterech kółek - Jupiter znowu jęknął. - I na dodatek jestem zrujnowany!

Wszyscy zaczęli go pocieszać, najlepiej jak umieli. Tay obiecał mu pomoc w zdobyciu jeszcze lepszego wozu.

- Dostaniesz trochę z ubezpieczenia - mówił do nieszczęśliwego szefa agencji Trzej Detektywi. - I pomyślimy jeszcze nad sposobem zarobienia paru dolców. - Uśmiechnął się do niego. - Hej, Jupe, czy wezwałeś gliny?

Jupiter westchnął.

- Kiedy zobaczyłem, co zostało z mego wozu, zupełnie o tym zapomniałem. - Potem z trudem się uśmiechnął. - No cóż, w każdym razie załatwiliśmy ten gang samochodowy. No i mamy dowody twojej niewinności, Tay!

Po obu stronach ulicy pojawiły się nagle policyjne wozy. Chwilę później w stronę chłopców i ich więźniów biegli już policjanci z bronią gotową do strzału. Na ich czele stał inspektor Cole i sierżant Maxim.

- Ej, chłopcy! - rzucił Tay. - Ten sierżant Maxim myśli, że wreszcie mnie złapał na gorącym uczynku!

I uśmiechając się szeroko, Tay zabawnym gestem podniósł ręce do góry.

Trzej Detektywi wybuchnęli śmiechem.

